



Kathryn Jensen
*Tajemniczy
książę*

Tytuł oryginału

The Secret Prince



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Moja jesteś, pani. - Daniel Eastwood zrzucił dżinsy na piasek, a obok sweter, i utkwiał w niej swe ciemne oczy. - To, że wydajesz się dzisiaj chłodna, nie zniechęca mnie.

Przemawiał tak dwornie do morskiej wody, którą kochał ponad wszystko w świecie.

Następnie wziął rozbieg i zanurzył się w uległej toni. Parskał, obracał się, rozgrzewał, następnie popłynął wzdłuż opustoszałej plaży. Przepłynąwszy prawie kilometr, zaczął wracać do Haven.

Dan pozostawał w intymnej zażyłości z oceanem od momentu, gdy ujrzął go po raz pierwszy w życiu. Stało się to wtedy, gdy przyjechał na wybrzeże z wycieczką szkolną, wiele lat temu, trzy godziny autobusem od południowego krańca Baltimore. Nigdy nie zapomniał uczucia lęku, respektu i fascynacji, które poczuł tamtego dnia - dziecko miejskie, stojące na skraju nieskończenie długiego dywanu z piasku, ciągnącego się wzdłuż wody, co zdawała się równie ogromna jak niebo. Oszołomił go wiatr morski, niosący nieznanne zapachy. Ocean oddychał łagodnie, wbiegając drobny-

mi falami na brzeg. A co kryło się pod powierzchnią fal? Wszelkie możliwe stwory, znane z baśni, filmów, legend.

Dan wrócił autobusem szkolnym tego samego dnia do Baltimore, ale przeżyte piękno i moc trwały w nim, zapisane na zawsze. Wraz z gorącą chęcią bywania nad wielką wodą tak często, jak się da.

Kiedy trochę podrósł, zaczął przyjeżdżać nad morze w wakacje, dorabiając sobie najpierw jako pomocnik ratownika, a potem samodzielny ratownik. I odtąd już co roku w czerwcu przyciągała go woda z regularnością podobną do tej, z jaką Księżyc rządzi przypływami.

Opuścił cztery sezony, to prawda. Ale przecież każdy mężczyzna musi kiedyś pójść do wojska. Dan odbywał swoją służbę, gdzieby indziej, w marynarce wojennej.

Kapryśna to pani, morska toń, z jej zmiennym temperamentem... Przeglądająca się we własnym lustrze, a za chwilę hucząca burzą. Niemniej Dan kochał wszystkie jej nastroje, i teraz też, mimo późnej jesieni i zimna idącego od głębin, znajdował rozkosz w obcowaniu z wodą, zielonocząmą, połyskującą złotem słońca, co niedawno właśnie wzeszło, nieogarnioną.

Gdy obrócił głowę, dopływając do Haven, wydało mu się, że widzi kogoś przy swoim ubraniu, zostawionym na piasku. Wymacał stopą grunt i otarł wodę z powiek. Tak, rzeczywiście, stała tam kobieta, ocieniająca

teraz oczy dłonią, bo spoglądała pod słońce. I prawdopodobnie wypatrywała właśnie Dana:

- Co, u licha? - zamruczał, połykając niespodziewanie haust słonej wody. Pracownicy wiedzieli przecież, że o tej porze nie posyła się nikogo na plażę, bo to są święte godziny szefa. O ile w ogóle ktoś z przyjezdnych odwiedziłby tak wcześnie biuro.

Kobieta wydawała się wysoka, miała rdzawe włosy, ściągnięte w węzeł na karku. Ubrana była w ciemnozielony kostium - biurowy, nie plażowy; w lewej ręce trzymała zdjęte z nóg pantofle. „Stoi chyba na piasku w rajstopach”, ocenił Dan, zbliżając się powoli.

Ona zdawała się nieco zaniepokojona, nie wiadomo dlaczego. Rozejrzała się w lewo i w prawo. Potem uśmiechnęła się do pływaka. Dan nie pozostał jej dłużny i też się uśmiechnął.

- Niech mi pani rzuci ręcznik! - poprosił i pokazał głową plażowe tekstylia, złożone na podeście z desek.

- Czy nie za późno na kąpiel? W listopadzie? - Podeszła do stosu kolorowych tkanin. - I to w Marylandzie - dodała.

- Nie dla mnie. Jestem gorącej krwi.

- Ach tak - zdziwiła się uprzejmie i rzuciła ręcznik. - Gorącej krwi...

- Mówię serio. Mam temperaturę zwykle o dwie kreski wyższą od normalnej. U mnie właśnie to jest normalne.

Pokiwała głową.

- Oczywiście znam swe ograniczenia - uśmiechnął się Daniel. - W przerębел zimą bym nie skoczył.

- Dobrze jest znać granice - mruknęła.

Z zaciekawieniem przyglądała się mężczyźnie, który energicznie osuszał teraz ciało. Nigdy dotąd nie miała okazji być blisko tak atletycznego torsu. No dobrze, zreflektowała się, ale ona jest tu przecież z powodów zawodowych. Nie wolno się rozpraszać. Musi szybko zadać właścicielowi Haven kilka istotnych pytań.

- Nazywa się pan Daniel Robert Eastwood, prawda?

- Zgadza się - odrzekł. - A pani?

- Jestem Elizabeth Anderson. I chciałabym zabrać panu tylko dziesięć minut. Proszę o chwilę rozmowy. Zmarszczył czoło.

- Jeśli sprzedaje pani sprzęt hotelowy, czy coś w tym rodzaju, to proszę się zgłosić do mego partnera, Kevina Huntera. On się zajmuje wyposażeniem. Jego biuro jest w budynku głównym.

- Rozmawiałam właśnie z panem Hunterem. To on przysłał mnie tutaj.

- Ach tak... Ale dlaczego? - Przyglądał jej się uważnie, wciągając pomału spodnie.

Elly spodobał się sposób, w jaki patrzył.

Dan sięgnął po sweter, wciąż nie spuszczać wzroku z przybyłej. Oceniał wzrokiem urodę długonogiej kobiety o cerze nieco bladej, pewnie skutkiem wysiadania w biurze. Jej piersi... Na razie trudno coś po-

wiedzieć. Ten żakiet jest jak pancierz! - Zapraszam panią do siebie - powiedział. - Do dziewiątej mamy czas. Potem czeka mnie spotkanie z pewnym kontrahentem.

Szli przez plażę, a ona od razu zaczęła wyjaśniać:

- Zajmuję się zawodowo badaniami genealogicznymi.

-Czym?

- Genealogią - uśmiechnęła się. - Pracuję dla mego ojca, Franka Andersona, i właśnie interesuje nas sprawa pewnego dżentelmena... Zmarł jakiś czas temu, a pan prawdopodobnie jest jego krewnym.

- O! I któż to taki?

- O tym za chwilę. Najpierw trochę pytań pomocniczych.

Weszli na deptak, który ciągnął się wzdłuż wybrzeża. U jego krańca rysowały się nowoczesne budynki hotelowo-apartamentowe. Ale tutaj, w dawnej części Ocean City, dominowały drewniane bungalowy, z arkadkami, knajpkami w stylu kolonialnym, również tradycyjnymi parkami rozrywki. Cztery lata temu huragan Evelyn zmiotł cały kwartał drewnianej zabudowy. Dan uznał, że otwiera to przed nim szansę. Postanowił zainvestować i tym samym na dobre zapuścić korzenie nad morzem.

Razem z przyjacielem, Kevinem, kupili jedną ze zrujnowanych posiadłości. Umocnili nabrzeże i zrekonstruowali dwadzieścia pięć pawilonów, łącząc je

w rodzaj wioski. Haven okazało się dobrym interesem, lepszym, niż mogli przypuszczać. Dan był naprawdę dumny ze swego przedsięwzięcia.

Co prawda, poza sezonem, jak teraz, w Haven bywało nostalgicznie. Żadnej nowej twarzy, jeśli nie liczyć dostawców. Przybysze budzili zaciekawienie i sympatię... Dan z przyjemnością popatrywał na rudowłosą pannę Anderson.

- Proszę powiedzieć coś więcej - ponaglił. - Co to za tajemnicza historia z tym niby moim familianem?

Doszli właśnie do rzędu pawilonów.

- Tutaj mieszkam - wskazał pierwszy domek. - Zapraszam.

Weszli do środka. Cisnął mokry ręcznik na oparcie skórzanej sofy w saloniku. Elizabeth z trudem powstrzymała słowa dezaprobaty. Wyciągnęła z torby mały notesik.

- Najpierw coś uściślimy - powiedziała. - Jak nazywali się pańscy rodzice?

- Carl Eastwood i Madge, to znaczy Margaret Jennings Eastwood. Ojca właściwie nie znałem, bo umarł zaraz po tym, jak przyszedłem na świat.

Pokiwała głową.

- A kiedy się pan urodził?

Podał datę.

- To było... - zaczęła obliczać - trzydzieści dwa lata temu?

Potwierdził.

- Teraz poproszę o adres i telefon pańskiej mamy.
- Chwileczkę - powstrzymał ją. - Nie wiem, czy mama by sobie życzyła... Ale będę mógł panią do niej zaprowadzić.

- Może potem... Sądzę, że i pańska mama będzie zainteresowana schedą po owym dżentelmenie.

- Schedą?! - Dan poruszył brwiami. - Co za rzadkie słowo... Pozwoli pani - spojrzał po sobie - że pójdę się przebrać? - I skierował się w stronę łazienki.

- Zaraz! - zawołała za nim. - Ja już właściwie kończę. Może nie przerywajmy... Bardzo się śpieszę...

- No dobrze - cofnął się. - I niech mi pani mówi po imieniu - zaproponował i opadł na najbliższy z foteli.

- A więc jeszcze... gdzie się urodziłeś... Dan?

- W Baltimore, w Mercy Hospital.

- I mieszkałeś w Baltimore...

- ...do skończenia studiów. Potem byłem w piechocie morskiej przez cztery lata.

Uniosła oczy.

- Przyjaciele nazywają mnie Elly... - Posłała mu uśmiech. - Masz rodzeństwo?

- Nie mam - pokręcił głową.

- Ani pół braciszka z innego tatusia?

Pogroził jej palcem.

- Elly, nie pozwalaj sobie. Moja mama jest porządną kobietą.

Zrobiła przeproszający gest.

- Nie to miałam na myśli. Pytam, czy może mama wyszła drugi raz za męża?

- Nie. - Daniel wstał i zrobił kilka kroków. Spojrzał na zegarek. - No, zbliża się dziewiąta. Bardzo żałuję. .. Ale czy ujawnisz mi w końcu, po kim to niby miałbym dziedziczyć? I co?

Westchnęła.

- To jest na razie sprawa poufna... - Też wstała. - Wszystkiego wkrótce się dowiesz. Tylko tyle mogę na razie powiedzieć.

Skrzywił się, zniecierpliwiony.

- No cóż... Kwadrans po dziewiątej mam być u mego kontrahenta. Musimy się już pożegnać.

Elizabeth wyciągnęła rękę.

- W takim razie do widzenia. - Spojrzała mu w oczy. - Kiedy będę miała dla ciebie więcej informacji, dam znać. A na razie dziękuję.

Otworzył przed nią drzwi.

- Następnym razem pójdziemy może razem popływać?

Zaśmiała się.

- W listopadzie? Ja nie mam podwyższonej temperatury ciała.

Ogrzałbym cię chętnie, pomyślał.

Stał na progu i patrzył, jak Elizabeth Anderson wdzięcznym krokiem zmierza do auta, pozostawionego na parkingu.

Usiadła za kierownicą, ale nie włączała silnika. Nie była z siebie zadowolona. Ojciec też nie będzie zadowolony, pomyślała.

Zdobyła o Danielu Eastwoodzie za mało danych. Neptun z pian morskich, przemknęło jej przez głowę. W jego młodych latach... No i bez trójzębu... Zwykle nie była specjalnie podatna na męskie wdzięki, jednak tym razem...

Elizabeth z zasady panowała nad sobą. Nie angażowała się łatwo.

Bez ostrzeżenia, jak zawsze, odtworzył się w niej tamten obraz. Północ, przerażone okrzyki ojca, jego szarpanina z telefonem... Twarz wyrażająca zupełną bezradność. Rzut oka w głąb sypialni rodziców: matka w dziwnej pozie, jęczy... I wycie karetki, a potem spotęgowana cisza... Równie nagle, jak się pojawił, obraz odpłynął. Elly drżała lekko.

Zaraz, zaraz, co ja tu w ogóle robię? Potarła czoło. Ach tak, Dan Eastwood. Genealogia.

Eastwood... Ojciec będzie wściekły. Mają właściwie tylko dobę na poszukiwania, a ona wciąż wie bardzo mało.

Spojrzała na zegarek. Ojciec już czeka pod telefonem w Elbii. Do londyńskich gazet popularnych przeciekła jakoś wiadomość z Elbii i międzynarodowy skandal wisi w powietrzu. Wielką niesławą może się okryć Biuro Genealogiczne Andersonów.

Elly sięgnęła za siebie, po laptopa. Ułożyła go na

kolanach, otworzyła, znalazła odpowiedni plik i zaczęła wprowadzać dane ze swego notesu. Adres Daniela Eastwooda znalazła już uprzednio w Internecie. Brakowało tam wiadomości o jego matce, na pewno dlatego, że nie ma w Sieci tych, co nie posiadają przynajmniej poczty elektronicznej.

Ale jak to powiedział Dan? „Mogę panią do niej zaprowadzić...” Prawdopodobnie więc Margaret Jennings Eastwood mieszka gdzieś tutaj niedaleko.

Zamknęła laptopa i umieściła go znów za sobą. Schowała notesik do torby. Poprawiła fryzurę w lusterku wstecznym i wysiadła z samochodu. Ruszyła w stronę deptaku. Zwykle sąsiedzi sporo wiedzą jedni o drugich, pomyślała z optymizmem.

Zaraz za Haven zaczynały się prywatne bungalowy i posiadłości Ocean City. Na pewno ktoś będzie znał adres matki Dana.

Elly wspinała się po stopniach schludnego, złotego domku, stojącego na uboczu. Wchodząc na werandę, obciągnęła żakiet i przywołała na twarz uśmiech. Zapukała. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

- Słucham? - W progu stała niska blondynka w średnim wieku. W jej oczach widać było życzliwe zaciekawienie.

- Pani Margaret Eastwood?

- I owszem, złotko - padła odpowiedź.

- Rozmawiałam niedawno z pani synem - zaczęła Elly - i on...

Twarz kobiety rozjaśniła się.

- Ach, więc jest pani przyjaciółką Dana.

- Może nie całkiem przyjaciółką, ale... Właściwie najpierw szukałam pani, jednak adres Dana był bardziej dostępny.

- Proszę wejść i wszystko mi dokładnie opowiedzieć. - Margaret Eastwood ruszyła przodem. - Życie w tych małych miasteczkach ma swoje dobre strony. Ludzie się tu znają. Człowiek nie boi się, na przykład, pogawędki z obcym. Wszystko dzieje się na oczach sąsiadów.

- To prawda - Elly zgodziła się skwapliwie, aczkolwiek z niezbyt czystym sumieniem. Bo nie wiadomo, czy pani Eastwood będzie zadowolona z wizyty swego gościa.

Przeszły do salonu, umeblowanego w stylu kolonialnym. Elly zwróciła uwagę na kolekcję różnokształtnych butelek, umieszczoną na parapecie okna wychodzącego na zatokę. Dostrzegła też grupkę małych fotografii, skupionych na górnej części pianina. Przedstawiały one dzieci w różnym wieku, od berbecia po ucznia. Elly pociągnęła nosem i spojrzała w stronę kuchni.

- Coś tu pięknie pachnie.

- To ciasto imbirowe - powiedziała Margaret. -

Piekło się takie u nas w Nowej Anglii. Podtrzymuje stare obyczaje. Dan bardzo lubi takie ciasto.

- A więc pani nie pochodzi z tych stron?

- Nie, ale żyję w Marylandzie od wielu lat. Proszę usiąść. Przyniosę pani filiżankę kawy i kawałek placka.

Elly spróbowała protestować, lecz Margaret nie słuchała jej i poszła szybko w stronę kuchni.

Elly podniosła się i ruszyła za nią.

- A więc mieszka pani w Marylandzie od dawna?

- W Marylandzie tak, chociaż nie w Ocean City.

- Margaret krzątała się przy nalewaniu kawy. - Kiedy Dan był chłopcem, żyliśmy w Baltimore. On zaczął tutaj z czasem przyjeżdżać i pracował jako ratownik na plaży. I połknął morskiego bakcyła. Po wojsku postanowił się tu osiedlić. Widziała już pani te jego bungalowy?

Elly potwierdziła.

- Potem zabrał mnie do siebie - kończyła swą opowieść Margaret. - Chodźmy. - Podniosła tacę. - Pójdziemy jednak do salonu.

Kiedy przechodziły obok pianina, pokazała głową fotografie.

- Widzi pani? Takie ma hobby. Prowadzi letnią szkółkę pływacką dla maluchów z Baltimore.

- No proszę... - Elly nachyliła się ku fotografiom.

- To wszystko jego pupile.

Rozsiadły się wokół niskiego stołu. Elly znów po-

czuła, że ma nieczyste sumienie. Ta kobieta jest taka gościnna, a ona... Ale trudno, musi zadać przygotowane pytania.

- Proszę pani - zaczęła - mam pewną delikatną sprawę. Prawdopodobnie wiąże się ona z Danem. Ale, jak już powiedziałam, to nie on mnie tutaj przysłał.

- Ach tak - Margaret wydała się nieco rozczarowana.

- Zostałam wynajęta przez pewną europejską rodzinę, by uzupełnić dane dotyczące jej genealogii. Chodzi tu o von Austerandów. Może pani coś o nich słyszała?

Margaret spuściła oczy. Nerwowo zaplotła palce na podołku.

- Nie, nie - odrzekła. - Absolutnie nic nie słyszałam.

- To jakby Windsorowie w Anglii... Ród bardzo znany. Panują w niedużym państewku graniczącym z Austrią, w Elbii.

Margaret westchnęła i nie podnosząc oczu powiedziała cicho:

- Wolałabym już jednak pożegnać się z panią. Proszę mi wybaczyć.

Elly odchrząknęła.

- Domyślałam się, droga Margaret, że jest pani zaskoczona. .. - Starła się zyskać na czasie. Rozejrzała się niepewnie. Znów odchrząknęła i spróbowała bar-

dzo ostrożnie dobierać słowa. - Są powody, aby przypuszczać... że pewna młoda amerykańska kobieta przeżyła romantyczne spotkanie z następcą tronu Elbii... Jeszcze przed jego ożenkiem. Ponad trzydzieści lat temu.

Margaret wstała i znów usiadła.

Elly mówiła dalej.

- Niewykluczone, że to z jego dzieckiem w łonie opuściła Europę, po czym ślad po niej zaginął. Choć nie do końca zaginął... Czy pani mnie słucha, pani Eastwood?

Matka Dana odwróciła twarz ku oknu. Zdawała się intensywnie wpatrywać w kolekcję zgromadzonego na parapecie szkła.

- Mój mąż był Amerykaninem - powiedziała wreszcie z naciskiem. - Nazywał się Carl Eastwood i umarł, zanim Daniel skończył rok.

Carl Eastwood. Carl, nie Charles. Imię nie jest amerykańskie... Szczególna wydaje się też zbieżność z imieniem władcy Elbii, który nazywał się Karl, Karl von Austerand. Tu mamy „C”, tam „K”, podobieństwo jest wyraźne.

- Jego Wysokość Karl von Austerand zmarł kilka lat temu, teraz zaś koronę nosi jego syn, Jacob - wyjaśniała Elly. - Jacob był dotąd przekonany, że będzie rządził niepodzielnie, tymczasem rutynowy przegląd królewskich archiwów całkiem niedawno wykazał, że stary władca miał drugiego syna, to znaczy pierwszego,

pierworodnego, choć z nieprawego, jak to się mówi, łoża.

- Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć o aferach miłosnych von Austerandów - powiedziała Margaret. - Ani o jakichś dzieciach z nieprawego łoża. - Postarała się spojrzeć Elly w oczy.

Elly była prawie pewna, że Madge kłamie. Próbuje skłamać, ale nie umie tego robić i widać to choćby w jej spojrzeniu.

- Rozumiem, jakie to dla pani trudne - pokiwała głową, odstawiając filiżankę z kawą. Nachyliła się ku gospodyni. Pogładziła ją delikatnie po ramieniu. - Bardzo bym jednak prosiła o nieco więcej informacji.

Madge odchyliła się w krzesło. Oddychała ciężko. Jej rysy stężały w wyrazie gniewnej bezradności.

- Nie mam nic więcej do dodania! - wyrzuciła z siebie. - Żegnaj panią! Pani mnie myli z kimś innym!

Elly podniosła się. Co robić? Ta kobieta ma prawo do prywatności. Lecz wykręty nie uchronią rodziny Eastwoodów, na przykład, przed wścibstwem reporterów. Dwaj łowcy sensacji już zaczepiali Elly na trasie od Connecticut do Baltimore. Lada moment mogą się pojawić i w Ocean City. A w ogóle czas nagli. Nie pora na zabawę w kotka i myszkę. Spróbujmy innego podejścia.

- Proszę pani - zaczęła. - Jestem jak najdalsza od

chęci uchybienia pani. Ale proszę pomyśleć choćby o swym synu. Czasem dzieci chcą poznać prawdę o rzeczywistych więziach rodzinnych. - Wzięła głębszy oddech. - Przecież ojcem Dana nie był Carl Eastwood, prawda?

Blefowała, lecz tylko odrobinę; miała przeczucie, że rozmawia z właściwą osobą. Jednak nie w stu procentach była pewna swych danych. Ale jeśli nie usłyszy teraz zaprzeczenia, zbliży się do pewności.

Madge z trudem się opanowała. Łapała powietrze otwartymi ustami.

- Nie chcę, aby mój syn czegokolwiek się dowiedział! - wykrztusiła w końcu.

W tej samej chwili szcęknęły drzwi frontowe; dały się słyszeć kroki w holu i na progu salonu stanął Dan.

- Czego to miałbym się nie dowiedzieć, mamó? O, witam - zwrócił się do Elly. - A więc trafiła pani tutaj sama?

Margaret Eastwood poderwała się.

- Danny, dobrze, że jesteś! Chyba nie powinnam była wpuszczać tej panny - spojrzała na Elizabeth - ale, ona powiedziała, że jest twoją dziewczyną.

Elly także się poderwała. Ta kobieta nie umie kłamać, ale to lubi, pomyślała.

- Jak pani może! Nic podobnego nie mówiłam. - Po czym zwróciła się do Dana: - Przyszłam tu sama, bo miałam nadzieję, że moja rozmowa z twoją mamą

w cztery oczy okaże się... z różnych powodów łatwiejsza.

- Ale dlaczego mama jest taka wzburzona? - zainteresował się Dan. - Co się stało?

Margaret zacisnęła wargi.

- Może ty mi powiesz? - Daniel zwrócił się do Elly. - I w ogóle o czym to miałbym się nie dowiedzieć?

- Nie wiem, czy to powinno wyjść ode mnie... - zawahała się Elizabeth. - Wolałabym być mimo wszystko dyskretna. Sprawa ta jednak w końcu dotyczy was obojga i to w sposób niezwykle żywotny.

- Nie owijaj już w bawełnę - przynaglił Dan.

- No dobrze. Otóż, ileś lat temu twoja mama przebywała w Europie... W Paryżu.

- To nie jest żadna tajemnica. Wiedziałem o tym. Pani Eastwood poruszyła się.

- Jestem taka wyczerpana... - Objęła głowę rękami. - Naprawdę chciałabym, żeby ta panna już sobie poszła.

- Może za chwilę, mamo. Ja muszę się najpierw dowiedzieć... - Tu popatrzył badawczo na Elly i znów zdziwił się jej urodą. W dobrze ogrzonym saloniku zdjęła zakiet i wreszcie stało się jasne, że ma piękny biust. Także piękną linię ramion i karku.

- No, Elly - uśmiechnął się - dlaczego to, twoim zdaniem, takie ważne, że mama była kiedyś w Europie? .

Elly spróbowała odwzajemnić uśmiech, ale przyszło jej to niełatwo.

- Margaret Jennings... bo takie jest nazwisko panięńskie mamy, prawda?... studiowała przez rok na Sorbonie.

- Oczywiście, to także nie jest żadna tajemnica.

- Niedawno ujawnione dokumenty stwierdzają, że poznała wtedy młodego człowieka o nazwisku...

- O nazwisku Carl Eastwood! - krzyknęła Madge.
- Pobraliśmy się, a w dziewięć miesięcy potem urodził się Dan. Carl, niestety, wkrótce umarł - zaczęła ocierać łzy, napływające jej obficie do oczu.

Daniel zmarszczył czoło.

- Zaraz, zaraz, mamó - powiedział. - Dotąd zawsze słyszałem, - że poznałaś tatę w Baltimore.

- Nie, synku... - chlipnęła Madge. - Stało się to w małym miasteczku pod Paryżem... W parę lat potem spłonął tam kościółek, a wraz z nim księgi metrykalne - dodała.

Elly pokręciła głową. Ależ ta kobieta konfabuluje!

- Hm... Mamó, ale właściwie, dlaczego ty płaczesz? - Podszedł do Margaret i objął ją ramieniem.

- Niech ona ci to wyjaśni! - Madge wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę Elly.

Daniel spojrział pytająco na gościa. Elizabeth bezradnie poruszyła ramionami.

- Nie ma metryki, w samej rzeczy... - powiedzia-

ła. - Bo też i nigdy takiej, potwierdzającej ojcostwo Carla Eastwooda, nie było. Nie było również żadnego ślubu, prawda, pani Eastwood? - Zajrzała w oczy gospodyni.

- Nic nie rozumiem - kręcił głową Dan. — Ale coraz mniej mi się to podoba.

- Wiem, że możesz być zaszokowany... Ale chciałeś znać prawdę.

- Chcę znać prawdę!

- No więc żaden Carl Eastwood nigdy nie istniał. Twoja mama wymyśliła go. Z jej wiadomych powodów.

- Co ty wygadujesz! - osłupiał Dan. - Mamo, co ona plecie?!

- To wszystko łągarstwa i insynuacje. Ona mnie dręczy - rozszlochała się na dobre Margaret.

W oczach Dana zapłonęła złość. Ładna jest ta panna Anderson, ale stanowczo za wiele sobie pozwala! Powodowany impulsem, szybko zbliżył się do niej i ujął ją pod łokieć.

- Żegnamy, panno Elizabeth.

Ledwie zdołała chwycić swoją torebkę i zakiet.

- Nie wiem, w co grasz - popychał ją ku drzwiom - ale nie dbam o to. Żegnam cię. Za dużo było tych fantazji...

- Ja chciałam tylko...

Nie dokończyła zdania, bo już była na zewnątrz, owiewana chłodnym morskim wiatrem. Drzwi za nią

zatrzasnęły się. Stała na ganku żółtego domku. Po prostu wyrzucono ją. Siłą!

Zaczęła schodzić po stopniach. Ale nie z poczuciem klęski... Uśmiechała się do siebie. Jej cel został jednak osiągnięty.

Odnalazła nieznanego księcia!

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Elly w oczekiwaniu przysiadła na krawędzi łóżka hotelowego. Do ucha przyciskała słuchawkę. Ktoś tam po drugiej stronie miał pójść i poszukać jej ojca. Ale ten pałac jest rozległą budowlą i nie wiadomo, kiedy ojca znajdą. Może za pół godziny? Nigdy nie była w Elbii, lecz wyobrażała sobie te wszystkie amfilady, krużganki, galerie, baszty, schody paradne... Cały labirynt.

- Elly! - .Czekanie trwało jednak krócej, niż sądziła. Głos ojca prawie ją zaskoczył. - Nareszcie. I co tam masz?

- Znalazłam! - zawołała.

- A więc stary król rzeczywiście miał z Jenningsówną syna...

Elly uśmiechnęła się do słuchawki.

- Ona jest dziś już dobrze po pięćdziesiątce... Ma na imię Madge i nie chce się wcale przyznać do romansu z von Austerandem.

- Ach tak... Hm... - mruknął Frank Anderson. - No, właściwie to można ją zrozumieć. Bez wątpienia ukrywa przygodę swej młodości przed mężem.

- Ona nie ma męża. I sądzę, że nigdy go nie miała. Wymyśliła sobie jakiegoś Carla Eastwooda, który niby to wcześniej umarł. Jest to bajeczka stworzona, jak sądzę, z myślą o synu, Danielu.

- O Danielu... - Pan Anderson zaniósł się kaszlem starego palacza. - Ale co do synostwa owego młodego człowieka... to jesteś go pewna?

Zawahała się na pół sekundy. I natychmiast potwierdziła.

- Tak, tato. On nawet jest podobny do Jacoba, według tego zdjęcia, które mi przekazałeś. No i do starego króla, z czasów jego młodości, rzecz jasna. To są wszystko twarze o wspólnych rysach, tylko że Karl von Au-sterand miał niebieskie oczy, a Daniel Eastwood ma ciemnobrązowe.

- Zapewne po matce - odezwał się ojciec Elly.

- Ona jest rzeczywiście ciemnooka... Ale co z dokumentami, tato - zmieniła temat. - Nasze intuicje i poszukiwania to jedna rzecz, ale prawo jest przecież prawem, więc...

- Cóż, Karl studiował na Sorbonie w tym samym czasie, co Margaret Jennings - zaczął ojciec. - W rektoracie istnieje potwierdzenie tego faktu. Ale to jeszcze mało - zaśmiał się i znów zakaszłał. - Ponieważ w archiwach królewskich zachowały się również listy miłosne Margaret do Karła. Przefaksuję ci je... Grafolog łatwo dowiedzie ich autentyczności. A są też jeszcze rozmaite inne papiery.

Elly czuła, że ją ta sprawa naprawdę wciąga, że ją interesuje nie tylko profesjonalnie. Było coś bajecznego w owej królewskiej historii! A jej dane jest w tym uczestniczyć. Co będzie dalej? No właśnie!

- Co dalej? - zapytała ojca.

- Dziś rano doradcy Jacoba zasugerowali, że jeśli odnaleziona matka i potomek są tymi, których szukamy, dobrze będzie ich sprowadzić do Europy, i to jak najszybciej.

Elly przełożyła słuchawkę-do drugiej ręki.

- Po co?

- Twierdzą, że w Elbii byłiby na przykład lepiej chronieni przed wścibstwem mediów. Istnieją też różne niecierpiące zwłoki kwestie legalizacyjne.

Elly wstała, spojrzała w okno i znów usiadła.

- Tato, ze sprowadzeniem obojga Eastwoodów do Elbii mogą być kłopoty. Daniel nie uwierzył nawet, że toczy się tu jakaś gra serio. Jak ja go wsadzę do samolotu? Jego matka jest na mnie wściekła... Tak się złożyło, później ci to wyjaśnię... I czy akurat my się musimy tego rodzaju sprawami zajmować? - Chwilę odczekała.

- Przecież zgodziliśmy się tylko zweryfikować pewne fakty, prawda? Nie jesteśmy biurem detektywistycznym, agencją rewindykacyjną ani niczym takim.

- Elizabeth... - W głosie Franka Andersona można było wyczuć dezaprobatę.

- To naprawdę nie jest zadanie dla nas! - Elly trwała przy swoim.

- Niestety, obawiam się, że nie mamy wyboru - westchnął Frank. - Bo widzisz, król z jakiegoś powodu to nas właśnie podejrzewa o ten nieszczęsny przeciek do prasy. Twierdzi, że nikt z jego otoczenia nie śmiałby pisać słowa... Musimy ratować nasz wizerunek, córko! Trzeba, abyśmy wykazali maksimum dobrej woli.

- Czy są jeszcze jakieś inne złe wieści? - Elly położyła się w poprzek łóżka, nie wypuszczając słuchawki z ręki.

- Nie wiem, czy złe... Może Eastwoodów zachęci do podróży aspekt finansowy przedsięwzięcia - zastanawiał się na głos Frank Anderson. - Od początku wiadomo, że królewskiego potomka i jego matkę czeka poważna gratyfikacja. Takie sprawy negocjuje się na miejscu... - Zakaszłał.

- Tato, czy ty musisz tyle palić?

- Nałóg, dziecko, nałóg... No, w każdym razie oni muszą się tu pojawić.

Elly ciężko westchnęła.

- Najlepiej byłoby ich porwać... - Podniosła się z łóżka. - Zobaczą, co da się zrobić. Nie opuszczajmy rąk.

Dan prawie o godzinę spóźnił się na spotkanie ze swym kontrahentem. Ten, na szczęście, był jeszcze w biurze. Po krótkich przeprosinach, Dan przeszedł do rzeczy: zamówił prace naprawcze przy jednym z bun-

galowów, tym najbliższym morza. Domek został naruszony przez ostatni sztorm. Umowa została podpisana. Ustalono terminy, wynegocjowano cenę. Jeden kłopot mniej.

Dan pożegnał się prędko. W chwilę potem wsiadł do samochodu i ruszył w drogę powrotną do Haven. Przemierzył całą Aleję Oceaniczną i wkrótce już skręcał na swój prywatny parking. Kiedy wysiadał, zobaczył z daleka czyjeś rude włosy. A więc ona wciąż tu jest, zdziwił się. Bo któż mógłby to być, jeśli nie Elly?

Czuł złość, ale zmieszaną z oczarowaniem, które bynajmniej nie minęło.

Oddalona o pięćdziesiąt kroków, rozmawiała z Kevinem. Kevin wykonywał jakieś więcej niż uprzejme gesty i Daniel zaniepokoił się, czy nie przekazuje zbyt wiele poufnych informacji? Szybkim krokiem ruszył w stronę tych dwojga.

- Nie zrezygnowałam, jak widzisz! - zawołała z daleka Elly. Nie wydawała się specjalnie zakłopotana. - Sprawa jest zbyt poważna - uśmiechnęła się dzielnie. - Musimy jeszcze raz pomówić, panie Eastwood.

Kevin spoglądał na Dana niepewnym wzrokiem. Przeniósł spojrzenie na Elizabeth. Na wszelki wypadek zrobił krok do tyłu.

- Nie bardzo wiem, do czego zmierzacie - powiedział. - Ale na pewno nie zamierzam się wtrącać. Zostawiam was. Mam dzisiaj mnóstwo roboty.

Kiedy się oddalił, Elly zaryzykowała wyjawienie wprost, o co jej chodzi.

- Musisz jeszcze dziś polecieć do Europy. I to razem z mamą.

Daniel prychnął. Potem pokręcił głową.

- Nie tylko mylisz się co do mojej matki, ale w ogóle jesteś pomyłona! - Znów pokręcił głową i popukał się w czoło.

Elly nie czuła się urażona.

- Dan... - powiedziała. - Istnieją pewne dokumenty, które mogą cię zainteresować. - Potrząsnęła torebką. - Mam tu naprawdę ciekawe fakty. - Odgarnęła grzywkę. - I powiem też, że jeśli nie potraktujesz wszystkiego serio, to twoja matka i ty możecie zostać skrzywdzeni bardziej, niż sobie wyobrażasz.

Przemawiała z takim przekonaniem, że Daniel poczuł, iż traci część pewności siebie.

Przyjrzał się Elizabeth. Aż dotąd nie wykluczał, że ta ładna kobieta, jak tyle ładnych kobiet przed nią, wymyśliła sobie ekscentryczny sposób na poflirtowanie z nim, i że, niestety, przekroczyła dopuszczalne granice. Obraziła jego matkę.

Teraz jednak wahał się. A jeśli ta jej bajka genealogiczna nie jest bajką? Kto wie, czy matka nie broni się płaczem przed jakąś prawdą, nie kłamstwem? Spojrzał na zegarek.

- Zrobiła się prawie pora lunchu - powiedziała. - Nie jesteś głodna?

- Gdybym popróbowwała ciasta imbirowego pani Eastwood, może bym nie była... - uśmiechnęła się.
- Ale, niestety, nie zdążyłam. Ktoś mnie odegnał od stołu.

Dan zrobił dziwną minę.

- Bardzo cię przepraszam, Elly. - Ujął jej dłoń i ucałował rycersko. - Działąłem pod wpływem impulsu. Jeszcze raz przepraszam.

Spojrzała na niego łaskawym okiem i pozwoliła mu się zaprosić do samochodu.

Po dziesięciu minutach siedzieli już przy stoliku U Kirkby'ego, w najpopularniejszej restauracji tej części Ocean City, oferującej owoce morza. Dan zamówił dla obojga wielkie talerze słodko-kwaśnej zapiekanki z krabów, *specialite de la maison*. Wnętrze lokalu, urządzone w stylu lat pięćdziesiątych z użyciem czerwonego winylu, było pustawe, jak to w listopadzie.

Gdy zaspokoił pierwszy głód, Dan poprosił:

- Elly, obejrzałbym teraz to, co masz w torebce. I powiedz mi, skąd w ogóle ten cały pośpiech? Zjawiasz się o wschodzie słońca. Przeprowadzasz ze mną parominutowy wywiad. Znikasz. W ogóle nie pojmuję, o co idzie. - Wzruszył ramionami. - Zastaję cię u matki, mama zalewa się łzami. Opowiadasz jakieś niestworzone rzeczy... A teraz ta dziwna idea, żebyśmy natychmiast lecieli do Europy! Przecież to wszystko nie ma sensu.

Kelner zabrał talerze i przetaił stolik. Elly położyła na nim swoją torbę.

- Wiem, że mogę ci się wydawać fantastką, intruzem, czy kim tam jeszcze. Ale ja jestem przede wszystkim profesjonalistką. Oto dokumenty. - I zaczęła wyjmować fotokopie listów młodej pani Eastwood.

Dan pochylił się nad stołem.

- A więc to ma być pismo mamy... No nie wiem... - zawahał się. - Choć niby w ciągu trzydziestu lat - spojrzął na daty - charakter mógł się trochę zmienić.

- Rzecz jest do rozstrzygnięcia przez grafologów. Ostateczna ekspertyza miałaby miejsce w obecności pani Eastwood, w Europie. Mama zdążyła ci chyba wspomnieć o tym, o czym rozmawialiśmy?

Okazało się, że zdążyła, ale zaprzeczając, ile się da.

- Tymczasem jest wysoce prawdopodobne, prawie pewne - opowiadała Elizabeth - że Karl von Austerrand i Margaret Jennings byli w latach studenckich parą. Przyszły, a obecnie już zmarły król Elbii, przebywał w Paryżu pod przybranym nazwiskiem, dla uniknięcia sensacji. Mama poznała go początkowo jako anonimowego młodego człowieka. Madge miała nadzieję, że się pobiorą. Dowodem tego są listy. - Elly podsuwała Danowi kolejne kopie. - Istnieją także listy Karla do twojej mamy. Wiele kopert zawierających te listy nosi stempel „Adresat nieznany”. Margaret, zawiedziona w uczuciach, przerwała studia i odpłynęła do Ameryki,

próbując zatrzeć za sobą ślady. Karl nie mógł jej znaleźć. Madge nie wróciła do domu rodziców w Nowej Anglii. Osiadła w Marylandzie.

Dan był kompletnie oszołomiony. Potrząsał głową jak po ciosie.

- Nie do wiary - powtarzał. - Nie do wiary... Czuję się jak po jakimś praniu mózgu. Mam poczucie utraty tożsamości.

Elly położyła dłoń na jego ręce.

- No tak, to nieuniknione. Domyślam się, co czujesz. Człowiek nieraz całe życie w coś tam wierzy, a tu nagle okazuje się, że sprawy mają się całkiem na odwrót.

Dan słuchał głosu Elly i wydawało mu się, że w jej wymowie wyczuwa akcenty... nowoangielskie? Będzie ją musiał zapytać, skąd pochodzi... Syrop klonowy i jankeska logika... Tak, tak; w ogóle warto by poznać bliżej pannę Anderson. Jest ładna, inteligentna i naprawdę odważna.

Nie wszystkie dokumenty były kopiami listów. Wzrok Dana padł teraz na notatkę dotyczącą niego samego. Zaczął czytać:

Daniel Robert Jennings. Urodzony 20 sierpnia 1970 roku. Ustalono, że miejscem narodzin jest Baltimore, w stanie Maryland. Kopii metryki na razie brak. Matka: Margaret Jennings. Nie ma informacji o ojcu. Nazwisko matki i dziecka prawnie zmienione na East-

wood (w listopadzie 1970). Powód zmiany: domniemany ślub z Carlem Eastwoodem. Brak urzędowych danych o istnieniu Carla Eastwooda. Poszukiwania internetowe zakończone niepowodzeniem. Carl Eastwood nie występuje też w kartotekach służb specjalnych. Wniosek: podejrzenie fikcyjności osoby.

- Czyja to robota? - zapytał Dan.

- Wszystkie papiery pochodzą z archiwum państwowego Elbii. Udostępnione zostały Biuru Genealogicznemu Andersona, mojego ojca, celem zweryfikowania. Może byśmy zamówili kawę? - Elly rozejrzała się za kelnerem. - I wodę mineralną.

Czekali na kawę oraz wodę i dalej przeglądali zawartość torebki Elizabeth. Dan ze wzruszeniem zagłębiał się w listy miłosne swojej matki. Kończyły się najczęściej zwrotem: „Uwielbiam cię Madge”.

- Właściwie nie wiem, czy my mamy prawo je czytać.

- Usprawiedliwiają to okoliczności. Musisz nabrać przekonania, że nie zachodzi żadna mistyfikacja. A sprawa jest poważna. Można by rzec - polityczna.

Dan sięgnął po spięte razem kopie przesyłek Jego Wysokości do panny Jennings. Na osobnej karcie ręka urzędnika dopisała:

Listy Jego Wysokości Karla von Austeranda do niejakiej Margaret Jennings w Stanach Zjednoczonych,

datowane: 1970 (3 sztuki), 1972 (2 sztuki), 1973, 1975, 1976 i 1980 - wszystkie powróciły jako niedoreczalne.

- No i co o tym wszystkim sądzisz? - zapytała Elly.

W tym momencie pojawił się kelner z kawą.

Dan uśmiechnął się słabo.

- Wyobrażam sobie, że również legalny syn Karła nie jest zachwycony pojawieniem się tych dokumentów.

- Zapewne. Wolałby, aby nie zostały wydobyte na światło dzienne przez nadgorliwych archiwistów...

- A więc stało się to poza jego wiedzą?

- Do pewnego stopnia tak. Widzisz, rutyna urzędnicza... Jacob, syn Karła - dodała Elly - będzie miał dodatkowy kłopot z tym, że ty się urodziłeś przed nim. Jesteś pierworodny.

- O, do licha!

- No właśnie. W dodatku cała rzecz przedostała się już do mediów. Łowcy sensacji tropią ciebie i twoją matkę, Dan. Dwóch udało mi się zgubić na trasie do Baltimore. Wiedzieli, kim jestem i po co jadę do Ocean City. To tylko przypadek, że znalazłam ciebie wcześniej niż oni.

Dan ujrzał w wyobraźni krzyczące litery na pierwszych stronach popołudniówek... I pomyślał, co będzie, gdy pod jego domem pojawią się kamery telewizyjne. I gdy zacznie się urywać telefon. Hm...

A może by to było z korzyścią dla Haven? Taka darmowa reklama?

W następnej chwili odrzucił tego rodzaju pokusę. Przecież jego matka pragnie za wszelką cenę dyskrecji i w ogóle wypiera się wszystkiego. Paparazzi mogliby ją bardzo skrzywdzić.

Spojrzał znekany na Elly.

- Co robić? Jak to wszystko przetrwać?

- To proste. - Wzruszyła ramionami. - Trzeba po prostu na jakiś czas stąd zniknąć. A Elbia oferuje wam azyl. Lećmy do Europy!

Niełatwo było przekonać Madge do nagłej podróży za ocean. Nie minęło jednak popołudnie, a już w jej żółtym domku rozdzwonił się telefon. Natychmiastową chęć zrobienia wywiadu zgłaszali przedstawiciele prasy federalnej i zagranicznej, także radio i telewizja. Reporterzy powoływali się na doniesienia agencyjne. Po godzinie tego kołowrotu Madge poczuła, że jest w panice. No i sama poprosiła, aby zabrać ją stąd gdzieś daleko. Choćby do Europy.

Elly zaproponowała, aby polecieć concorde'em. Jest to najszybszy samolot na świecie. Uzyskała zgodę i przez Internet połączyła się zaraz z ambasadą Elbii. Po kwadransie bilety były zarezerwowane. A wkrótce cała trójka siedziała w wozie panny Anderson, podążającym wzdłuż Wschodniego Wybrzeża ku waszyngtońskiemu lotnisku Dullesa. Byli prawie pewni,

że nadjeżdżające z przeciwnika trzy lub cztery ekipy telewizyjne miały za cel właśnie Ocean City.

- Jak długo jednak jesteśmy w podróży - oceniła Elly - prawdopodobnie nas nie dopadną. Na lotnisku mają nas przejąć ochroniarze Departamentu Stanu.

W istocie, przed terminalem czekało sześciu rostrych mężczyzn w szarych garniturach. Sprawnie sformowali flankę i poprowadzili przybyłych przez tłum zaintrygowanych pasażerów ku bramce dla VIP-ów. Po odprawie Eastwoodowie oraz Elizabeth mogli spokojnie czekać na zapowiedź odlotu. Elly poczuła nagle wielkie zmęczenie, a zarazem radość. Udało się! Jednak się udało. Dotrzyma obietnicy danej ojcu.

Concorde to samolot dla ludzi bardzo dobrze sytuowanych. Ma charakterystyczne trójkątne skrzydła i wydłużony, ostry dziób. Elly nigdy dotąd nie podróżowała taką maszyną. Teraz z zaciekawieniem rozglądała się po jej przestronnym wnętrzu. Po dwóch stronach przejścia siedziało się tu jedynie parami. Obsługa traktowała pasażerów ze szczególną uprzejmością. Madge i Dan trzymali się razem; Elly usiadła po drugiej stronie przejścia i miała obok siebie wolny fotel.

Za iluminatorami szybko zmierzchało. W listopadzie wieczór zapada około piątej po południu.

Samolot wystartował, a gdy ustalił swój pułap, podano przekąski. Zaraz potem Elly zaczęły zamykać się oczy. Wstała dziś przecież przed świtem. Drzemała. Na

granicy jawy i snu zwidywały jej się teraz jakieś scenki z dzieciństwa. Żyła mama. Twarz mamy pochylała się nad Elizabeth. Wszystko będzie dobrze, Elly - padały słowa pocieszenia. - Ta operacja nazywa się cesarskie cięcie. To nic wielkiego... I już wkrótce będziesz miała braciszka, wiesz? Badanie wykazało, że to chłopczyk. Będę ci go pozwalala czasem przewijać. Cieszysz się?

Elly uśmiechała się. Ojciec głąskał córkę po głowie i mówił, że właściwie sama wygląda jak kobietka, taka jest rozwinięta. Mogłaby być już mamusią, gdyby żyła na przykład w Afryce czy w Azji. Tam dwunastolatki nieraz wychodzą za mąż i rodzą dzieci... Elly zaplotła wstydliwie ramiona na swych dziewczęcych piersiach. Zaczynała być z nich dumna, ale i bywała zażenowana, gdy ktoś zwracał uwagę na jej nowe, zmienione kształty.

Zaczęła zapadać w głębszy sen. I od razu przypląnął tamten koszmar, tyle razy na nowo przeżywany. Matka ma nagłe bóle porodowe, połączone z komplikacją kardiologiczną, jest północ, ojciec nie może się połączyć z kliniką. Dzwoni po pogotowie, krzyczy do słuchawki. Matka jęczy za półuchylonymi drzwiami. Ojciec nie pozwala do niej wejść. Zaczyna wyć syrena; za oknem migają czerwono-niebieskie światła karetki. I już dwaj sanitariusze wbiegają z noszami na piętro. Za nimi podąża lekarz. Drzwi sypialni rodziców zatrzaśnięto. Zapada cisza. Elly podsłuchuje. Długo nic się nie dzieje. Wreszcie ktoś niewyraźnie mówi: „Za

późno". Ukazują się sanitariusze z noszami. Ojciec ma kamienną twarz.

Po policzkach Elly zaczynają płynąć łzy.

- Elly, co ci jest? - Ktoś położył jej rękę na ramieniu. Ale dzieje się to już nie we śnie, ale na jawie.

- Płakałaś.

Obok niej, na wolnym fotelu, usiadł Daniel. Zamrugała oczami.

- Płakałam? - Granica między rzeczywistością i wspomnieniem wydawała się ciągle płynna. Dokoła panował półmrok. Równy szum silników był taki usypiający. Elly opuściła powieki. Czuła w gardle sól łez.

- To złe sny - powiedział Dan i ujął jej dłoń. - Opowiedz swój sen, a mara odleci. Duchy nikną, gdy się je wydobywa na światło.

- Te nigdy nie znikają - poskarżyła się. Z trudem przełknęła łzy. - Stale wracają. Od lat nie mogę się od tego uwolnić.

Dan sięgnął do stolika, aby podać Elly kubeczek z sokiem pomarańczowym, który został po posiłku.

- A więc to aż tak źle... - szepnął współczująco.

Westchnęła i nagle zapragnęła zwierzeń. Czuła, że różne rzeczy łączą ją z tym mężczyzną, że jest między nimi jakaś wspólnota doli... Nierozwiązana przeszłość, mroczne dzieciństwo, trudny los obu matek. Obróciła twarz i po drugiej stronie przejścia zobaczyła uśpioną Margaret.

- Bardzo kochasz swoją mamę, prawda?
- Oczywiście, że kocham - odparł. - A ty swoją?
- Zajrzał jej w oczy.

Głowa Elly opadła na ramię Dana. Po jej policzkach znów zaczęły płynąć łzy.

- Elly, przepraszam - szepnął. - Co się z tobą dzieje? Przez chwilę oboje milczeli.

- Może nie powinienem się wtrącać, ale chciałbym cię trochę bliżej poznać. Ty o mnie już tyle wiesz...

Elly uniosła się i odstawiła pusty kubeczek, który cały czas trzymała w ręku.

- Miałam sen o mamie - powiedziała. - I ten sen wciąż powraca. Historia wydaje się niby prosta... Miałam wtedy dwanaście lat. Moi rodzice bardzo chcieli mieć drugie dziecko. Mama chorowała jednak na serce. Mnie samą urodziła z trudem. No i zdecydowała się na cesarskie cięcie, żeby nie umrzeć przy porodzie. Ale i tak umarła... A braciszek - bo to miał być braciszek - także nie-przeżył. To właściwie wszystko.

Dan pochylił się i objął Elly ramieniem.

- Bardzo ci współczuję - szepnął. - Naprawdę bardzo...

Za oknami było czarno. Tu i ówdzie migotały jednak gwiazdy i to wystarczyło, aby gdzieś w dole lśnił też ocean.

- Po śmierci mamy był duży kłopot z ojcem - powiedziała Elly. - Zrobił się apatyczny, przestał pracować. Sporo pił i dużo palił. To ostatnie zostało mu do

dzisiaj... Bywało, że nie wracał do domu na noc. No i prawie przestał się do mnie odzywać.

Dan kiwał głową.

- A ty go przecież bardzo potrzebowałaś...

Elly westchnęła.

- Oczywiście. Ale nie chcę oskarżać ojca.... Gdybyś zobaczył fotografie mamy z młodości, powiedziałaśbyś, że to po prostu ja. Wydaje mi się, że ojciec uciekał ode mnie, bo zbyt mu mamę przypominałam, a on tego nie mógł znieść.

- To niczego nie usprawiedliwia - szybko powiedział Dan.

Elly znów zamknęła oczy. Zamilkła. Może się przed nim za bardzo otwieram? pomyślała. Ale wkrótce przecież się rozstaniemy. On o wszystkim zapomni.

To dziwne, że ludziom obcym można jednak powiedzieć więcej niż bliskim. Dlatego Elly, nie otwierając oczu, podjęła opowieść.

- Kiedy podrosłam, ojciec uparł się, żeby mnie dokładnie przebadano w klinice kardiologicznej. Okazało się, że też mam wadę serca. Jak mama. No, może trochę mniejszą... Ale od razu postanowiłam - tu Elizabeth spojrzała na Dana - że nigdy nie urodzę dziecka. Ze strachu i z rozsądku!

On milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Dziś kobiety rzadko umierają przy porodzie. - Poprawił się w fotelu. - I twoja mama żyłaby może,

gdybyście zdążyli na czas do kliniki. - Ujął Elly za rękę. - Myślę, że nie powinnaś...

. Zacisnęła usta. Cofnęła rękę.

- Nie mów mi, czego nie powinnam, a co powinnam. - Poczowała się dotknięta. Była kobietą niezależną. - A co do dzieci, to uważam - wzruszyła ramionami - że jest ich i tak na świecie wystarczająco dużo. W tym miliony nieszczęśliwych. Nie muszę ryzykować życia, aby tę liczbę powiększyć.

Ostatnie słowa wypowiedziała trochę za głośno i rozejrzała się, spłoszona, sprawdzając, czy nikt niepowołany jej nie słyszał. Dokoła wszyscy zdawali się jednak drzemać. Ktoś siedzący po drugiej stronie przejścia miał słuchawki na uszach.

Daniel przymknął oczy. Ponieważ nie odzywał się przez następne pięć minut, Elly uznała, że zasnął.

Odprężyła się i nieoczekiwanie poczuła, że rozmowa z Danem dobrze jej zrobiła. Piękny z niego mężczyzna. Znow przyglądała mu się jak kobieta. Kosmyk kasztanowych włosów opadał mu na czoło. Prosty nos harmonizował z wyrazem ust i profilem podbródka. Wargi miał ani za grube, ani za cienkie. W sam raz do całowania... I do wypowiedzania sensownych słów. Przyjrzała się też jego dłoniom, splecionym na kolanach. Bardzo ładne ręce...

W ciągu ostatnich paru lat miała wielu adoratorów. Zawsze lubiła trzymać ich na dystans. Szła do łóżka

tylko z tymi, co do których miała pewność, że nie marzą o założeniu rodziny.

Ostatnio przez trzy miesiące była z Philem. Nie kochała go, więc i pożegnała bez żalu, gdy zdecydował się odejść do innej kobiety. Przed Philem był zaś Tom. Wspaniały chłopiec, czuły, przystojny, inteligentny. Niestety, pomału zaczął nabierać chęci na bycie tatusiem. Wywierał nacisk w tej sprawie i musiała go, choć z żalem, pożegnać.

Teraz od jakiegoś czasu była sama.

Ale czy na pewno sama? Spojrzała znów na uspio-nego Daniela. Jak to on powiedział? „Chciałby ją bliżej poznać”? Hm, i ona by go chętnie poznała nieco bliżej. Ale nic z tego nie będzie, nauczyła samą siebie. Po pierwsze, nie zadaje się z klientami. A po drugie, Daniel Eastwood podejrzanie lubi dzieci. Przypomniała sobie kolekcję fotografii na pianinie w żółtym domku Madge. Jest materiałem na tatusia. A więc lepiej się go wystrzegać.

On poczuł na sobie wzrok Elizabeth. Otworzył oczy.

Zawstydydziła się i uśmiechnęła z zakłopotaniem.

- Myślałam teraz... - Odwróciła wzrok. - Nie zgadniesz o czym... O tej twojej szkółce pływackiej dla dzieci z Baltimore. I zastanawiam się... dlaczego sam nie masz dotąd dzieci?

- Ba! - Poruszył ramionami. - To nie takie proste. Jakoś nie znalazłem, jak dotąd, ich matki.

- Ty?! - Elly z niedowierzaniem pokręciła głową.

- A kim ja jestem?

- No... ładnym chłopcem. Atrakcyjną partią, jak to się mówi.

- E tam... Zresztą najpierw zajęty byłem studiami. Potem cztery lata służyłem w *marines*. Następnie dość długo rozkręcałem swój interes. Teraz już niby mógłbym mieć żonę, ale jakoś nie udaje mi się spotkać mojej królowny z bajki. - Uśmiechnął się.

Sam jesteś królewiczem z bajki, pomyślała Elly. Dziwne, że jeszcze tego nie wiesz.

- Dziękuję ci. - Pogładziła go po zwilgotniałym od jej łez rękawie blezera. - Bardzo mi pomogłeś. Naprawdę dziękuję.

Dan przytrzymał jej rękę i ucałował. Potem zamierzał wrócić na swoje miejsce obok matki. Niestety, nie było to możliwe. Śpiąca Madge umieściła bowiem nogi na jego fotelu. Spojrzał pytająco na Elly.

- I co teraz? Chyba zostaniemy razem?

Uśmiechnęła się.

- Ależ oczywiście. Niech mama dobrze wypocznie. Jutro naprawdę będą jej potrzebne siły.

Siedzieli więc obok siebie, rozmawiali, drzemali i znowu rozmawiali. W końcu zaczęli się sobie wydawać bardzo bliscy. Elly nie pamiętała, by otwarła się przed kimkolwiek tak jak dziś przed Danem. On zaś dziwił się wrażliwości i inteligencji tej dziewczyny, jej niezależnym sądom, no i oczywiście urodzie, ślicznym

ustom, piwnym tęczęwkom, bogatej mimice twarzy, której rysy zdawały się w ciągłym ruchu.

Przed świtem zjedli małe śniadanie, a samolot zaczął schodzić do lądowania na podparyskim lotnisku Orły.

Kiedy obudziła się Madge, pierwszą jej troską było to, czy w Europie nie będą narażeni na paparazzich. Elly zapewniła, że i tu przyrzeczono im rządową ochronę.

Gdy wylądowali, rzeczywiście zaraz przejęła ich francuska żandarmeria, która po formalnościach paszportowych odstawiła całą trójkę do czekającego już helikoptera z herbami von Austerandów.

Śmigłowiec wystartował, a po dwóch godzinach ukazały się w dole Wogezy. Wkrótce maszyna zaczęła obniżać lot nad stolicą, która nazywała się Elbia, tak samo jak całe to maleńkie państewko.

Elly z zaciekawieniem patrzyła na rosnący w oczach Crystal Pałac, siedzibę von Austerandów, z mnóstwem średniowieczno-renesansowych krenelaczy, baszt i krążganków. Dotąd znała tę budowlę jedynie z opisów, rycin i zdjęć, a teraz widziała ją na własne oczy.

Pałacowi przyglądała się też bacznie Madge. Elly zaczęła się zastanawiać, jakie szanse miałyby przed laty młoda panna Jennings u boku swego Karla? Przypuszczalnie niewielkie. Aby pozostać z Margaret, Karl musiałby zerwać swoje wcześniejsze zaręczyny z jed-

ną z europejskich arystokratek. I zapewne abdykować, tak jak to uczynił w latach trzydziestych, dla słynnej pani Simpson, brytyjski król Edward VIII. Jednak Karl von Austerand nie abdykował. Biedna Margaret Jennings...

Elly uznała, że powinna tu w Elbii roztoczyć nad obojgiem opiekę. Czuła się współwinna kłopotów Daniela i Margaret. Znała swego ojca, wiedziała, że bywa bałaganiarzem. Jeśli król Jacob oskarża Biuro Genealogiczne Andersona o brak dyskrecji, to coś w tym może być. Biuro powinno było strzec lepiej królewskich tajemnic. Gdyby nie ów nieszczęsny przeciek do prasy, sprawy spadkowe potoczyłyby się spokojniej, bez sensacyjnej otoczki, bez narażania Margaret na gwałtowny obrachunek z przeszłością, a Daniela na poczucie zachwianej tożsamości.

ROZDZIAŁ TRZECI

Elly miała być przedstawiona parze królewskiej podczas wieczornego party. Umieszczono ją wraz z ojcem w bocznym skrzydle zamku. Minęło popołudnie i teraz właśnie razem z Frankiem zmierzali ku sali audiencyjnej. Zastali w niej Dana i Madge, oboje stojących ze szklaneczkami pośród innych zaproszonych gości. Elly przyjęła zaproponowany przez kelnera kieliszek białego wina, po czym podeszła z ojcem do Eastwoodów.

Frank wymienił uściski dłoni z Danielem i Margaret. Zapytany przez Dana o zgromadzonych wyjaśnił, że o ile się orientuje, przybyli tutaj głównie doradcy króla.

- Od nich chyba zależą losy państwa. - Skłonił się w stronę Eastwoodów.

- Zależą? - Dan skrzywił się. - Ja się czuję niezależny. Nic od Austerandów nie potrzebuję.

- Hm... To ich pan zaskoczy... Otoczenie Jacoba spodziewa się z państwa strony pewnych roszczeń. I może nie tylko finansowych.

W tej chwili rozległo się potrójne klaśnięcie major-

domusa, strzegącego połączonych drzwi, umieszczonych w krótszym boku sali.

- Jego wysokość Jacob von Austerand - padły dobitne słowa. -I królowa Allison... - Po czym wymienionych zostało jeszcze ileś tytułów, herbów i godności przynależnych władcom Elbii.

Elizabeth poczuła, że jej serce bije w przyspieszonym rytmie. Do sali weszła młoda para; on wydał się Elly od razu kimś znajomym. Widziała jego fotografię, a poza tym podobny był do Dana. Ona była postawną blondynką, okładkowo piękną, z diademem na upiętych misternie włosach.

- Podobno jest Amerykanką - szepnął Frank, przyślanając usta.

Niespodziewanie przypomniał się Elly pewien program telewizyjny. Mówiono w nim o małym państewku europejskim, którego władca wywołał dynastyczną burzę, postanawiając się ożenić z tak zwaną zwyczajną kobietą, obywatelką Stanów Zjednoczonych. Elly nie zwróciła zrazu uwagi na tę sensację, choć dotarło do niej sporo szczegółów, dotyczących zwłaszcza tła obyczajowego sprawy. Program poświęcony był królestwu Elbii.

Jacob i Allison witali się teraz uprzejmie z przybyłymi, z każdym zamieniając kilka słów. Elly zauważyła, że Jacob niespokojnie krąży spojrzeniem wśród zgromadzonych; szuka Eastwoodów, odgadła.

W następnej minucie konfrontacja pary królewskiej

i głównych gości wieczoru stała się faktem. Madge i Dan, przedstawieni formalnie przez szefa protokołu dyplomatycznego, złożyli należne ukłony.

- Jak minęła podróż? - łaskawie zagadnął Jacob.

- Absolutnie bez przeszkód - odpowiedział krótko Dan.

Obaj przyrodni bracia mocowali się przez chwilę wzrokiem.

- Staraliśmy się zrobić, co w naszej mocy, aby nie nękali państwa paparazzi - odezwała się z uśmiechem królowa Allison. - A jakże komnaty, które wam przydzielono? Czy wygodne? Ciepłe? To średniowieczne zamczysko trudno utrzymać w idealnym stanie.

- Za wszystko dziękujemy, wasza wysokość - dygnęła Margaret.

Dan spojrział na matkę. Uznał, że nie podoba mu się owo dyganie i w ogóle cały śmieszny, feudalny ceremoniał. Wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, po co tu w ogóle jesteśmy. Cała ta historia spadkowa wydaje mi się burzą w szklance wody.

- O! Tak pan sądzi? - W doskonałej angielszczyźnie Jacoba dały się słyszeć ostre tony germańskie. - A jednak pretenduje pan do roli królewskiego potomka. Chyba się nie mylę? Czy z tego będzie również burza w szklance wody?

- Do niczego nie pretenduję - szybko odparł Dan.

- Cała ta sytuacja zaskakuje mnie, ale zdecydowanie

jako niewygodna, nie zaś okazja do zyskania czegokolwiek.

Młody król zwrócił się do Madge.

- Pozwoli pani, że zapytam wprost, czy to prawda, że pani i mój ojciec... - przerwał, sprawdzając reakcję Allison. Równocześnie dało się odczuć, że gwar w sali przycicha. Otoczenie króla w napięciu czekało na odpowiedź Margaret Eastwood.

Madge spuściła oczy.

- To takie nagłe... - zaczerwieniła się. - Ale dobrze, nie mogę dłużej zaprzeczać. To wszystko prawda.

- Jacob! - Allison z opóźnieniem próbowała mitygować męża.

Dan otoczył matkę ramieniem i teraz już z otwartą wrogością spoglądał na króla. Ochroniarze króla wychynęli z półcienia, gotowi do wypełniania swych obowiązków.

- Przepraszam. - Jacob przywdział znów maskę. - Pytałem bez owijania w bawełnę, bo cięży mi sytuacja, w jakiej wszyscyśmy się znaleźli... Myślę, że to jednak nie będzie burza w szklance wody, jak łaskaw był to ująć pan Eastwood. Powstał niebłahy problem proceduralny, prawny i polityczny.

- Polityczny! - Dan zaśmiał się z ironią. - W państwie wielkości znaczka pocztowego.

- Znaczka pocztowego? Ach tak! - Von Austerand zrobił zagniewaną minę i pokiwał głową.

- Daniel! - Elly, która dotąd trzymała się z boku,

uznała, że trzeba coś zrobić. To party nie powinno się zakończyć awanturą. - Wasza wysokość - zwróciła się do króla - proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że najważniejszych spraw i tak nie da się rozstrzygnąć podczas przyjęcia. Natomiast moglibyśmy może skorzystać... z dobrodziejstw stołu? - Podeszła do Margaret i wzięła ją pod rękę. - Damy są głodne!

Król roześmiał się.

- Ależ naturalnie. - Widać było, że się odprężył.
- Zapraszam zatem wszystkich do sali jadalnej!

. Spotkanie przebiegało dalej w całkiem przyjaznej atmosferze. Mówiono wyłącznie o pogodzie, o pięknie miejscowego krajobrazu, o tradycjach, kulturze i o możliwościach wspólnego wyruszenia na narty. Elly posmakowała każdej z siedmiu potraw, jakie podano, nadzwyczajnie smacznych. Zauważyła, że Daniel zagustował zwłaszcza w *Tafelspitz*, gotowanej wołowinie, podawanej z chrzanem, wedle miejscowych przepisów. Ona sama wzięła aż dwie porcje *Kaiserschmarren*, naleśników z rodzynkami i migdałami. Na koniec król zaprosił Dana do siebie, do kancelarii prywatnej, następnego dnia rano.

Nazajutrz, około godziny dwunastej, ktoś zapukał do drzwi Elly. Powiedziała „proszę” i zaraz ujrzała przed sobą Daniela, dość wzburzonego.

- Cóż to? Miałeś ze swym przyrodnim bratem nowe starcie?

- A miałem. - Dan przeczesał ręką włosy. - Wyobraź sobie, że Jacob podsunął mi dziś brzydki papierek do podpisania.

- Co to za papierek?

- Dokument wysmażony przez jego doradców. Z różnych zawijasów prawnych wywnioskowałem, że miałbym potwierdzić, iż w żaden sposób nie jestem spokrewniony z rodziną von Austerandów, że nie poczuwam się do związków z nimi. „Skoro pan od nas nic nie potrzebuje, jak pan powiedział, to będzie najprostsze rozwiązanie”, oznajmił Jacob.

- Sprytne.

- Owszem. Tylko że ja nie wezmę udziału w kłamstwie. Eastwoodowie przez trzydzieści lat żyli w nieprawdzie. Chyba tak to właśnie było? I wystarczy. Skoro okazało się, że moim ojcem jest stary Karl, to już się tego nie będę wypierał. - Dan zaczął chodzić po komnatce Elly od drzwi do okna. - W ogóle skutek jest taki... - Przystanął. - ...że czuję się, jakbym nigdy nie miał ojca. Żadnego. - Spuścił głowę.

- Ależ miałeś. I to królewskiego.

- Ten Karl... Wyobrażam sobie, jaki się mógł czuć bezkarny... Złoty synalek, pompatyczny arystokrata. Uwodzący dziewczęta na prawo i lewo. Nienawidzę go! - Uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Napłodził z pewnością mnóstwo małych Karlów w całej Europie.

- Nie wierzę! - Elly impulsywnie chwyciła Dana

za ramię. - Z jego listów wynika, że on naprawdę kochał twoją matkę. I więcej, był jej aż do królewskiego ślubu wierny. Potem was całymi latami szukał.

- Po co? - Dan zajął w oczy Elly. - Może chciał mamę przekupić? Nakłonić do milczenia? Zresztą ona i tak milczała.

Stali twarzą w twarz i dalej patrzyli sobie w oczy.

- Wiem, że Karl skrzywdził Madge - powiedziała Elly. - Teoretycznie mógł abdykować, ale wybrał władzę, nie miłość... Jego synowi jest jednak pod tym względem o wiele łatwiej, ma i władzę, i swoją miłość. Ożenił się z Allison, która nie jest żadną arystokratką. Czasy się zmieniają.

Dan postąpił pół kroku naprzód, zaś Elly się nie cofnęła. Daniel jej się bardzo podobał od momentu, gdy się poznali.

Pochylił się i delikatnie ją pocałował. Odczekał, znów zajął jej w oczy, szukając przyzwolenia. Potem ramieniem objął ją, a drugą ręką pogładził piersi. Nie było sprzeciwu, więc zaczął rozpinąć guziczki sukni. Całował szyję, dekol, ramiona. Ona odchyłała głowę, przysmykając powieki.

On już rozpiął stanik, który miał zatrzask z przodu. I oto piersi zostały obnażone. Polizał prawą brodawkę, a lewą popieścił kciukiem. Obie od razu stwardniały. Wtedy Dan poczuł w sobie ogień i szepnął do Elly:

- Dotknij mnie.

Zgadła, o czym mówi, ale zwlekała. Aż on sam poprowadził jej dłoń w dół.

- Wiem, że to dzieje się za szybko - powiedział.
- Chcę tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo cię pragnę.

Za szybko, pomyślała oszołomiona. A może i za późno, o wiele za późno?

Bo przecież od tak dawna czeka na kogoś silnego* kto by osłaniał ją przed brutalnym życiem, a i przed nią samą, przed tymi wszystkimi koszmarami. I aby zapewnił jej przyszłość, w której nie będzie żadnych dzieci, żadnej zwykłej rodziny.

Ma być tylko ów ktoś -jedyiny, najważniejszy człowiek na całym świecie.

Poczuła nagle, że trzeźwieje. Przecież ten mężczyzna szuka matki dla swoich dzieci!

W samolocie wyraźnie mówił jej o swych planach małżeńskich.

Zesztywniała.

- Co się stało? - zapytał Dan.

- Przepraszam - uśmiechnęła się zakłopotana, odwracając głowę. - Ale to wszystko rzeczywiście może dzieje się za szybko... - Spróbowała się uwolnić z jego objęć. - Znamy się tak krótko... Załedwie dwa dni! .

Odstąpił od niej i widać było, że jest trochę zawiedziony. Opanował się jednak i gotów był jej przyznać rację. Roześmiał się.

- Co nagle, to po diable! - powiedział.

Kiedy się żegnali, znowu ją przyciągnął do siebie i powiedział:

- Czuję, że coś nas łączy. I nie tylko ta historia z genealogią. Wierz mi, Ełly, ja mam intuicję... Poczekam... - Potem ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Zrobił krok w tył, skłonił się lekko i wyszedł.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jako człowiek przyzwyczajony do życia czynnego, Dan hołdował dwóm głównym metodom osiągnięcia fizycznego odprężenia. Pierwszą był wysiłek sportowy, drugą - seks.

Ta druga metoda z upływem lat zaczęła jakby nieco schodzić na drugi plan. Dan zrobił się bowiem wybredny, sam związek ciał już mu nie wystarczał. Pretensje zgłaszała dusza! Teraz w Elly znalazł, jak mu się wydawało, bardzo obiecującą partnerkę. Być może niełatwą do zdobycia.

Dan czuł się trochę sfrustrowany wczorajszym niepowodzeniem. Zarazem trudności obudziły w nim instynkt myśliwego.

Dziś rano postanowił natomiast pobiegać. Pakując się w Ocean City, przytomnie pomyślał nie tylko o strojach oficjalnych, ale też o dresach i obuwiu do biegania.

Po kilku niezbędnych zabiegach higienicznych poczuł się gotów. Zamknął za sobą drzwi i już po chwili był u bram pałacu. Pomachał strażnikom przy baszcie i przebiegł po zwodzonym moście.

Stolica, o tej samej nazwie co państwko, zrobiła na Danielu wrażenie jakiejś rozległej dekoracji filmowej, z przewagą elementów gotyku. Wczesne słońce przeglądało się w staromodnej kostce brukowej, wilgotnej po noey. Wszędzie było pustawo. Dan dobiegł do rynku i okrążył go z zaciekawieniem. Na parterach kamieniczek jarzyły się bajkowe wystawy sklepowe. Na środku rynku stał średniowieczny ratusz, o ścianach z pruskiego muru, ze stromym dachem i wieżyczką zegarową. Zegar był czynny, a jakże, i swymi kurtymi wskazówkami pokazywał właśnie godzinę siódmą dwadzieścia trzy.

Ulice miasta biegły w dół, zapewne ku rzece. Dan przypomniał sobie, że widział rzekę z okien helikoptera. Pobiegł zatem uliczką wiodącą w dół. Na skarpie ujrzał klasztor otoczony murem. Odezwała się sygnaturka kaplicy i zaraz z domów zaczęli wychodzić ludzie, zmierzający na nabożeństwo. Niektórzy z nich pokazywali sobie Dana palcami.

Nad rzeką rozciągały się rozległe tereny parkowe. Tutaj Dan poczuł się swobodniej. Przestał myśleć o Elbii. Mógł się teraz pozastanawiać nad Elly. Dlaczego w ogóle podjęła z nim grę? Dziwna, skomplikowana kobieta. Ale człowiek to w ogóle skomplikowana istota! Bywa, że chce i nie chce czegoś jednocześnie.

Daniel zatrzymał się, wykonał kilka przysiadów, skłonów i pompek. Słońce było już wyżej, igrało

w wodzie, a to sprawiło, że Dan musiał pomyśleć o Haven i o morzu. Cóż, rzeka Elbia w mieście Elbii w księstwie Elbii to jednak nie Atlantyck... Ale gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma!

Między drzewami zaczęli się pojawiać, jak zauważył, ludzie z psami w kagańcach i na smyczach. Bardzo zdyscyplinowani, ocenił Dan.

Ruszył truchcikiem dalej, znowu rozważając, jakie ma szanse u panny Anderson. Może żadne? Powiedziałem jej, przypomniał sobie, że chcę założyć rodzinę. A ona tego właśnie stara się uniknąć. Nasze cele są chyba sprzeczne. Będzie z tym kłopot.

Zatrzymał się i rozejrzał. Zerknął na zegarek. Zrobiła się ósma trzydzieści pięć. Postanowił wracać, ale inną trasą niż poprzednia. Po chwili wbiegał już pod górę omszałymi schodkami wśród murów winnic. Był pewien, że nie zabłądzi. A jednak Elly podjęła grę, rozmyślał dalej. Dlaczego? Może jest sprytna, może liczy na mój królewski spadek? Że go przyjmę? Lecz zaraz odepchnął tę myśl jako nieszlachetną. Spiskową.

Dość łatwo trafił na rynek, który teraz roił się już od przechodniów. W małych knajpkach podawano kawę do świeżych bułeczek (w górskim powietrzu bardzo wyraźnie pachniała i kawa, i bułeczki). Dan zauważył, że nie jest jedynym zapaleńcem, uprawiającym jogging. Co najmniej ze dwie albo trzy osoby truchtały po bruku.

Pobiegł Burgstrasse w górę do zamku. Przy głównej

bramie, teraz zamkniętej, zauważył tłumek. Nie byli to chyba turyści. Pobłyskiwały profesjonalne kamery. Ach tak, to byli reporterzy! Reporterom towarzyszyli dźwiękowcy, z mikrofonami w futrzakach i na wysięgnikach. Dan zatrzymał się z boku, starając się sygnalizować swą obecność straży. Dostrzeżono go. Wyszli dwaj halabardnicy w historycznych strojach i dwaj zwyczajni ochroniarze. Brama na moment została uchylona i Dan ruszył ku przejściu. Nie obyło się przy tym bez krótkiej szarpaniny z dziennikarzami oraz mało parlamentarnej wymiany zdań.

- Mieliliśmy nadzieję, że zdoła pan wrócić przed tymi paparazzi. - Halabardnik przyłożył dłoń do hełmu z pióropuszem.

- Wiedzieliście, że oni się tu pojawiają?

- W każdym razie spodziewaliśmy się ich.

Dan pokręcił głową.

- Trzeba było mnie uprzedzić.

- Nie dał nam pan szansy. Tak szybko przemknął pan przez bramę...

- No tak, racja.

Pozwolił się podprowadzić aż do wielkiej sieni zamkowej, w której, ku swemu zdumieniu, ujrzał króla i królową. Towarzyszyła im Elly.

- Gdzieś ty się podziewał! - wykrzyknęła Elly.

W jej głosie Daniel uchwycił nutę zupełnie prywatnej troski. Tak mu się przynajmniej wydało. Wzruszył ramionami.

- Musiałem trochę pobiegać. Potrzebuję dużo ruchu. - Ogarnął wzrokiem wszystkich zebranych.

Jacob wykonał pół kroku do przodu.

- To jednak nie było zbyt rozsądne. Pokazał się pan łowcom sensacji i teraz nam już nie dadzą spokoju. Przekonali się na własne oczy, że pan tu jest.

- Myślę, że nie zdobędą zamczyska, jeśli wasza wysokość nie zechce go poddać. - Dan uśmiechnął się ironicznie.

- Dosyć wątpliwy koncept - ocenił Jacob. - Ale jeśli już potrzeba panu ruchu, to na przyszłość zapraszam do salki treningowej, którą mamy w bocznym skrzydle zamku.

- O, miło wiedzieć! No i przepraszam za kłopot, jeśli go rzeczywiście sprawiłem. Bardzo przepraszam.

Król Jacob kiwnął głową.

- Nie mówmy już o tym. - Cofnął się i wziął pod rękę królową. - Chciałbym teraz pana prosić do mej kancelarii. Powinniśmy ze służbami informacyjnymi zredagować jakieś wspólne oświadczenie dla prasy.

- Ja się chyba muszę najpierw przebrać i wziąć prysznic.

- Naturalnie, naturalnie... Zatem może za kwadrans?

- Zgoda. - Po tych słowach Dan skłonił się lekko i ruszył ku schodom prowadzącym na piętro.

Był już na pierwszym podeście, gdy usłyszał za sobą wołanie.

- Bardzo przepraszam... Powiniennem wspomnieć
- Jacob stał z uniesioną ręką - że konferowałem
wczoraj wieczorem z moimi doradcami...

Daniel stanął i obrócił się. Jacob mówił dalej; kamienna sień wzmacniała jego głos.

- Otóż istnieje możliwość rekompensaty finansowej za publiczne zrzeczenie się pańskich pretensji do tronu... - Jacob podszedł nieco bliżej. - Pan nie chce „kłamać”, co wydaje się skądinąd godne szacunku... Nie zaprzeczając jednak królewskiego synostwa, może pan publicznie oświadczyć, zgodnie z pańskimi intencjami, że nie jest pan zainteresowany podtrzymaniem więzi z Elbią. Formalny dokument w tej sprawie można by spisać choćby zaraz.

Daniel zaplótł ręce na piersiach. Niby prawda, mało go obchodziła ta Elbia... Ale tak sformułowana oferta wydała mu się jakimś ultimatum. Spojrzał na Elly. Bezradnie wzruszyła ramionami.

Dan pokręcił głową.

- Nie - odpowiedział. - Mnie nie można kupić. - Uśmiechnął się. - Jestem człowiekiem bez wielkich pretensji, nie przeceniam siebie, ale też i nie posiadam ceny. - Jeszcze raz pokręcił głową. - Nie można mnie kupić.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i biegiem ruszył w górę, znikając na zakręcie paradnych schodów.

W niecałą godzinę potem Dan stał w wykuszu swej komnaty i w nie najlepszym nastroju popatrywał przez okno na ogród zamkowy. Nisko strzyżone żywopłoty układały się tu w geometryczny labirynt. Dalej, u podnóża skarpy, widniało lądowisko helikopterów. Maszyna, którą niedawno przylecieli, stała tam.

Przymknął oczy i pocierał czoło, rozważając najnowsze wypadki. Negocjacje z królem Jacobem są dziwnie bezsensowne. Co za pycha jest w tych feudałach! W dwudziestym pierwszym wieku! No i do tego ta nieudana przygoda z Elly, tak szybko przerywana...

Znów popatrzył za okno. Labirynt... Zaczął myśleć o Madge. Matka dowiedziała się już o paparazzich oblegających Crystal Palace i bardzo bała się ewentualnej konfrontacji z nimi. Dan nie całkiem rozumiał, dlaczego miłosny związek von Austeranda i Margaret Jennings sprzed paru dekad miałby wciąż zajmować opinię publiczną. Jednak, według Elly, cała historia na pewno trafi na pierwsze strony gazet i bez wątpienia nagłośnią ją też dziesięć razy przez różne telewizje, nie mówiąc o ilustrowanych piśmiennikach dla kobiet. Ponieważ media żyją z tego, że tworzą mity, przekonywała go.

Dan podniósł głowę. Jego uwagę przykuł teraz przyjemny klomb różany, stanowiący ośrodek ogrodowego labiryntu. Część róż kwitła jeszcze, jak to bywa w czasie europejskiej późnej jesieni... Zaś w oddali, poza

obrębem pałacu, po drugiej stronie doliny, strzelały ku niebu okryte wieczystym śniegiem Alpy. Go za widok! Dan rozjaśnił się, zapominając na chwilę o swych kłopotach. A cała ta piękna ziemia należała kiedyś do jego ojca. Oraz do jego przodków. No, no! Daniel Eastwood poczuł nagły przypływ rodowej dumy.

- O czym tak rozmyślasz? - Cichutko, niczym duch, pojawiła się w jego komnacie Elizabeth.

Drgnął i obrócił się powoli.

- Tak sobie dumam... O przeznaczeniu.

- O przeznaczeniu? - Zmarszczyła czoło.

- Rozglądam się po tym niezwykłym miejscu, w którym nigdy nie byłem, o którym nawet nie śniłem. .. A, o dziwo, czuję się tu jakoś swojsko, - Uśmiechnął się i zmienił temat: - Co, chciałaś mnie nastraszyć?

- No pewnie! - odpowiedziała ze śmiechem. Po chwili stała już obok Dana w wąskim wykuszu. Przez moment oboje popatrywali w dół na ogród.

- Labirynt... - zauważyła. - Ale z zachęcającym klombem róż w środku.

- No właśnie! .

Przez chwilę stali obok siebie, milcząc.

- To ty mi mówiłaś - przypomniał sobie Daniel - że Austerandowie rządzą Elbią od czterystu lat?

- Prawie - potwierdziła Elly. - Oderwali to księstwo od Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego w siedemnastym wieku. W czasie wojny

trzydziestoletniej. I jakoś do dziś udaje im się zachować niepodległość. Oraz ciągłość dynastyczną.

- No, no... A teraz okazuje się, że i ja mam z tym coś wspólnego... - Pokręcił głową.

Potem nigdy nie był pewien, co go naszło w tamtej chwili. Czy zadziałał romantyzm wielkiej historii? Ogólna bajeczność rozwoju zdarzeń? Może poczuł w sobie krew barokowych zdobywców? Tak czy owak, objął nagle Elly, obrócił ją ku sobie i zaczął okrywać pocałunkami. Nie broniła się. Przymknęła oczy i pozwałała się pieścić. Gdy przestał, tylko patrzyła, nic nie mówiąc.

- Elly... dałbym pół królestwa, żeby cię mieć.

Roześmiała się.

- Na razie nie masz nawet ćwierci. - Wyswobodziła się z objęć. - A swoją drogą - spróbowała zmienić temat - śmiało sobie poczynasz z królem Jacobem. On w końcu gotów pomyśleć, że tak naprawdę grasz z nim skrycie o koronę.

- O koronę? Ja?! - Dan wziął głębszy oddech. - Nie, to jakiś nonsens... Widzisz mnie w roli króla? Elly! - Zaśmiał się, potrząsając głową. - Swoją drogą, to, czego nie chcemy, gdy nam to wmuszają, bywa pożądane, gdy nam to wydzierają... Ma w tym bez wątpienia udział instynkt gry.

- Racja. Jest coś takiego.

- Wiesz co? - Zajrzał jej w oczy. - W istocie nie dbam o jakiegokolwiek zaszczyty czy wielkie pieniądze.

Niczego mi przecież nie brak i niczego nie chcę... Oprócz może jednego: miłości, żony, rodziny.

- Oczywiście. Wspominałeś o tym.

Przez chwilę oboje patrzyli na dalekie góry.

- Ja wiem... - zaczął Dan. - Znam twoje poglądy na rodzinę. Ale nie musisz ode mnie, z powodu tych poglądów, od razu uciekać. - Wyciągnął do niej rękę. - Może nie jesteśmy aż tak niedobrani, jak sobie wyobrażasz. Zresztą ludzie nie wybierają się po paru pocałunkach natychmiast do ołtarza!

Uśmiechnęła się. Wtedy on ujął jej obie dłonie i przyłożył je sobie do policzków.

- Dan - powiedziała poważnie. - Moje cele życiowe jednak nie zgadzają się z twoimi. Nie chcę, żebyśmy się nawzajem ranili, będąc ze sobą.

Patrzył, jak promień słońca igra w jej rudych włosach.

- Dziewczyno - westchnął - przecież to jest dwudziesty pierwszy wiek. Może być nam razem przyjemnie. Ostatecznie istnieje coś takiego jak antykoncepcja! Kobieta nie musi być w ciąży, jeśli sobie tego nie życzy. A poza tym... - zastanowił się. - Może ja wcale nie szukam aż tak gwałtownie matki moich dzieci? W tej chwili najbardziej pragnę ciebie. Bez względu na to, do czego ma to doprowadzić.

Przyjrzała mu się.

- Ty coś kręcisz, Dan...

- Nic podobnego! - żywo zaprzeczył. - Moje po-

głady ewoluują... A w ogóle nie próbowałbym cię zdobywać, gdybym nie czuł wezwania z twojej strony...

Przez twarz Elly przemknął cień uśmiechu.

- Uśmiechasz się... - Dan pokiwał głową. - Nie zaprzeczysz, że ciebie też do mnie ciągnie. Prawda?

- Tak - powiedziała, obejmując go w pół i kładąc mu policzek na ramieniu. - Ale czy z tego coś dobrego wyniknie? Może lepiej by było - wspięła się na palce i pocałowała go lekko w usta - gdybyśmy to wszystko w tej chwili zatrzymali?

Następnego dnia rano Elly już o dziewiątej stała pod jego drzwiami. Pukała, ale nikt nie otwierał. Czyżby Dan wyszedł? Ale dokąd: chyba tylko do ogrodu? Król Jacob usilnie prosił bowiem gości, by nie opuszczali zamku, dopóki jest on oblegany przez reporterów.

Wróciła do swojego pokoju, włożyła kurtkę i udała się ku tylnej sieni, z kręconymi schodkami. Już po chwili mocowała się z ręcznej roboty klamką w dębowej furcie na dole. Klamka ustąpiła, wrota zakrzypiały i Elizabeth wyszła na mały taras. Uderzył ją blask słoneczny, a pierś napełniło chłodne, górskie powietrze.

Ruszyła zwirową dróżką między strzyżone żywopłoty. Dotarła do klombu różanego. Ominęła go i małą skarpką zeszała ku tylnej części ogrodu. Tu pod murem

spozobregła oszkłony belwederek, częściowo obrośnięty bluszczem. Spróbowała zajrzeć przez szyby i wydało jej się, że ktoś jest w środku. Zadzwoowała palcami w szkło. Postać poruszyła się.

- Wejdz, wejdz - dal się słyszeć głos Dana.

- Medytujesz? - zapytala od progu. - Chowasz się przed światem? Trochę tu chłodno...

- Tutaj grzeje tylko słońce. Ale mnie to wystarcza. Przecież wiesz, że jestem gorętszy niż normalni ludzie.

- Ależ tak, oczywiście. Zawsze o tym pamiętam.

- No i nie chowam się - dodał. - Nigdy się nie chowam... Nie mam takiego zwyczaju.

- Myślałam, że może jeszcze przeżywasz wczorajsze starcie z Jacobem... - Zawiesiła głos. - A także nasze spotkanie. Czy spotkania. Chyba nie są takie, jakich byś sobie życzył.

Dan uśmiechnął się.

- Jestem odporniejszy, niż mogłabyś się spodziewać - powiedział. - Byłem w końcu cztery lata w *marines*. Tam nieźle dali mi w kość. - Zrobił szelmowską minę.

- Widzę, że odgrywasz dzisiaj rolę żołnierza samochwały.

Dan odchrząknął. Zmienił ton.

- Co do Jacoba, to, prawdę mówiąc, nie wiem, do czego on zmierza. Najpierw chciał mnie wyzuć ze wszystkiego. Teraz próbuje przekupić.

- Hm, tak to niby wygląda... - przyznała. Zbliżyła

się do Daniela. - Ale wiesz co? - powiedziała. - Posada króla nie interesuje cię przecież... Wobec tego dlaczego nie miałbyś jednak przyjąć jakiejś rekompensaty? Bądź praktyczny.

- Rekompensaty?

- No, pieniędzy.

Wzruszył ramionami.

- Wiem, wiem, nie chcesz pieniędzy - powiedziała Elly. - Ale pomyśl, na przykład, o swej matce. Jej na pewno by się coś przydało. Nie jest młoda, może zachorować, a to kosztuje. Poza tym Margaret należy się po prostu jakaś gratyfikacja za to, że chowała królewskiego syna wyłącznie na własny koszt. Mam rację?

Dan milczał.

- No i są jeszcze te twoje biedne dzieci z Baltimore. - Elizabeth oparła się o drewniany stół i skrzyżowała ramiona. - Te dzieci... Mógłbyś im ofiarować coś więcej niż lekcje pływania. Dlaczego nie miałyby powstać w Haven prawdziwa szkoła letnia, z nauką języków, prac ręcznych, z komputerami i tak dalej? Pomogłoby to wszystkim młodym ludziom później w szukaniu pracy.

Dan westchnął.

- No może, może... Będę musiał o tym pomyśleć.

- Pomyślisz?

- Tak.

- A kiedy?

Uśmiechnął się.

Elly wiedziała, że trafiła w czułą strunę Dana. Ale i on jakby coś pojął. Zapał, z jakim Elizabeth projektowała raj dziecięcy, nie wyglądał na jedynie udawany.

- Wiesz co? Ty zdaje się lubisz dzieci nie mniej niż ja. Tylko wypierasz się tego.

- Ja? - Zrobiła zdziwioną minę.

- A tak! - Zbliżył się do niej.

- Czy lubię...? W każdym razie na pewno nie będę ich miała! Nie zmienię zdania!

- Nawet adoptowanych? - Dan nie dawał za wygraną.

- O tym jeszcze nie myślałam.

- A nie boisz się w życiu... bezdziejnej samotności? - Objął ją ramieniem.

- Hm. Każdy się boi samotności. - Przymknęła oczy i powoli wykonała półobrót. Przyłgnęła do Daniela. Ach, jakie ciepłe były jego objęcia.

On zaraz pochylił się i poszukał ust Elly. Także zamknął oczy i oboje skupili się na długim pocałunku, który roznamiętniał ich coraz bardziej. Dotykając swoich warg, języków odczuwali narastającą słodycz i wydawało im się, że czas stanął w miejscu, a świat zniknął i nie ma niczego poza tą dziwną ciemną słodyczą, która ogarnęła ich ciała i dusze.

Kiedy się ocknęli, Dan pociągnął Elly na stojącą w pobliżu ławeczkę. Posadził ją sobie na kolanach, rozpiął zamek kurtki i wsunął dłoń pod jej sweter.

Zdziwiony wybadał, że Elly jest dzisiaj bez stanika. Sutki były już pobudzone. To odkrycie go podnieciło, a ona od razu to wyczuła. Poruszyła biodrami i przeciągnęła się kusząco. Sięgnął pod spódniczkę Elly, a ona rozsunęła uda. Lecz po chwili jakby się rozmyśliła, powstrzymując przedsiębiorczą dłoń. Westchnęła.

- Dan, przepraszam. Sama siebie nie rozumiem...

- Boisz się czegoś? - zapytał.

Oparła głowę na jego piersi i przymknęła powieki. Zaczął ją kołysać jak małą dziewczynkę.

- W każdym razie mnie nie musisz się bać. - Pogłaskał ją po głowie nieco zdezorientowany. Potem spróbował być wesoły. - Wiesz co? Może bądźmy przez jakiś czas wyłącznie przyjaciółmi? Bez tych wszystkich dręczących pokus. Co ty na to?

Wyprostowała się i spojrzała pytająco.

- To zdaje się kobieta zawsze wybiera tego, który ma ją wybrać... Jeśli mnie nie będziesz prowokowała - pocałował ją w czoło - możemy spróbować ze sobą żyć jak brat z siostrą.

Elly roześmiała się. Wstała z kolan Dana.

- Oj, ty mój braciszku, a co z twoją gorącą krwią? Ostudzisz ją jakoś?

- Będę się starał. A teraz moglibyśmy już chyba pójść na lunch.

ROZDZIAŁ PIĄTY

A więc przyjaźń... Daniel i Elizabeth rzeczywiście próbowali przestrzegać tej umowy.

Były to zarazem dni zastoju dyplomatycznego między przyrodnimi braćmi, Eastwoodem i von Austerandem. Daniel nie mógł się zdecydować na przyjęcie pieniędzy od króla. Także Margaret stwierdziła, że właściwie nic od von Austerandów nie potrzebuje.

W drugim tygodniu pobytu w pałacu Dan zaczął odczuwać nudę. Był więźniem serca i zmysłów, a do tego jeszcze nie wolno mu było wyjść poza mury. Ponoć paparazzi wciąż oblegali zamek, nadal nie dawali za wygraną. Poranne biegi trzeba było odbywać po ogrodowych alejkach, w nieznośnej ciasnocie dla kogoś, kto przywykł do szerokich, nadmorskich przestrzeni.

Dostępna była salka ćwiczeń w bocznym skrzydle pałacowym. Dobrze i to! Dan prawie co dzień korzystał ze sztangi, ekspandera, drążka, hantli, mechanicznej bieżni i tak dalej.

Pewnego razu, gdy ćwiczył już drugą godzinę, do siłowni zajrzała Elly. Dan był tym przyjemnie zasko-

czony; Elizabeth zapytała, czy może się przyłączyć. Miała na sobie strój gimnastyczny, uwydatniający jej kształty. Daniel natychmiast znów przypomniał sobie, że ma gorącą krew. Aby się jakoś opanować, zdwoił tempo ćwiczeń ze sztangą.

Elly wzięła do rąk małe hantelki. Poruszała nimi wdzięcznie, popatrując na siebie w lustrze.

- Za dobrze nas tu karmią - zawyrokowała. - Od paru dni czuję to w biodrach. - Potem wsiadła na rower bez kół. Zaczęła kręcić pedałami, ale wkrótce się zniechęciła. - Może byśmy lepiej poszli na spacer po ogrodzie? - zapytała.

Dan odłożył ciężary i zaczął sobie ocierać kark ręcznikiem.

- Trochę mnie już nudzą te wszystkie strzyżone szpalery - powiedział. - Ale wiesz co? Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy...

- Co takiego?

- Przecież bram tego pałacu nie pozamykano na kłódkę. Co dzień z miasta przychodzi służba, przynajmniej jej część, potem wychodzi, i nikt jej w tym nie przeszkadza.

- A co to ma wspólnego z nami?

- Otóż to, że można by się spróbować wymknąć w przebraniu.

- W przebraniu? To trąci jakimś filmem kostiumowym.

- A dlaczegoż by nie? „Sztuka jest zwierciadłem

życia", jak ktoś napisał. Powiedzmy, że ja odegrałbym... ogrodnika, a ty, na przykład, kuchareczkę. Odpowiadałoby ci to?

Elly sceptycznie pokręciła głową.

- Trochę fantazji, panno Anderson! - Dan włączył wentylator i zaczął gasić światła. - Zdażyłem tu poznać pewną starszą ochmistrzynię, bardzo wesołą damę. Czuję, że ona nam pomoże. Chodź! - Wyciągnął do Elly rękę i oboje opuścili salę gimnastyczną.

W niecałą godzinę potem Elly i Dan spotkali się w oficynie gospodarczej pałacu. Wyszła do nich ochmistrzyni, którą Daniel nazywał Tante Anna, dzierżąc pod pachą zawiniątko z fartuchem kuchennym i kitlem ogrodnika, swojego męża. Poradziła, aby przy bramie pałacowej wszelkim natrętom mówić tylko: *Entschuldigung, ich weisse nichts*, co znaczy: przepraszam, nic nie wiem. I oczywiście ani słowa po angielsku. Do przebrań dołożyła torbę z kanapkami, „bo a nuż zgłodniejecie na wycieczce”. Mało tego: oświadczyła, że wciągnęła w konspirację znajomych strażników przy tylnej bramie. „Dzwoniłam do nich. Na pewno wszystko się uda”.

- Bardzo, bardzo dziękujemy. - Dan ucałował dłoń starszej damy.

- Ale czy król nie będzie miał pani za złe, że nam pani pomogła? - zaniepokoiła się Elly.

- W razie czego przypomnę mu - roześmiała się

ochmistryni - kto tu rządzi! Tante Anna i król Jacob bardzo się lubią.

Elizabeth i Daniel przecięli ogród i zbliżyli się do tylnej furty zamkowej. Również i ona oblegana była przez reporterów. Przebrania jednak bardzo się przydały. Dzień był ciepły, a więc można je było wyeksponować, nie używając kurtki czy płaszcza. Niezła okazała się przy tym niemczyzna Elly. Jej dziadek przybył do Ameryki przed drugą wojną światową jako uchodźca z Nadrenii.

Oddaliwszy się należycie od pałacu, Elly i Dan chwycili się za ręce i zaśmiali wesoło.

- Udało się! Wolność! Niech żyje Tante Anna! - Pozdejmowali z siebie przebrania, zapakowali je do torby z prowiantem i zastanawiali się, co dalej.

- Może zwiedzimy miasto? - zapytała Elly. - Ja wciąż nie znam właściwie tej Elbii... w Elbii.

- Lepiej nie. Ktoś może nas tam rozpoznać i nagabywać.

- Wobec tego...?

- Wiesz, dowiedziałem się, że w dolinie jest duże jezioro, dość niezwykłe. Może pójdziemy je obejrzeć.

- Jezioro? Niezwykłe? Z jakiego powodu?

- Dowiesz się później.

Dała się namówić i już po chwili maszerowali aleją bukową wiodącą poza mury Elbii. Cały czas trzymali się za ręce, żartując, że biorą udział w bajce o Jasiu i Małgosi albo Kaju i Gerdzie. Bardzo też przyjemnie

było trwać przy umowie „przyjacielskiej”. Obcowali ze sobą, ciesząc się zwykłą bliskością, bez podtekstów, bez gry, męczącego uwodzenia, zbytecznych apetytów.

Mieli oboje apetyt, owszem, ale na kanapki, które zapakowała im Anna.

- Zjemy teraz czy potem? - zapytał Dan, gdy lustro jeziora zamigotało przed nimi.

- Co znaczy „potem”? - zainteresowała się Elly.

- Po czym? Co ty tam znowu knujesz?

- Hm - uśmiechnął się Daniel. - Myślałem, że może najpierw trochę... popływamy.

- Popływamy? - Elly uniosła brwi. - W zimie? Ty, oczywiście, myślisz tylko o sobie, bo ja nie mam podwyższonej temperatury ciepła.

- Ale woda jest ciepła - zapewnił Dan.

- Jakim cudem?

- Przekonaj się. - Pociągnął ją na skraj wody. - Schyl się i włóż rękę.

Elizabeth zanurzyła w wodzie końce palców.

- O, rzeczywiście ciepła! - Podniosła ku Danowi twarz. - Skąd wiedziałeś?

- Grzebałem trochę w bibliotece zamkowej. I najzwyczajniej w świecie znalazłem przewodnik po księstwie Elbii. Oni tu mają źródła geotermalne.

- Wyprostował się. - Woda w tym jeziorze ma przez cały rok tę samą temperaturę, dwadzieścia osiem stopni.

Dopiero w tym momencie Elly zwróciła uwagę na

to, że lustro wodne jakby delikatnie dymi. Pokazała je palcem.

- Paruje! - W następnej chwili zrobiła zmartwioną minę. - Ale ja nie mam kostiumu... Nie mamy też ręczników. A powietrze jest jednak chłodne.

- Możemy się wytrzeć moim fartuchem ogrodnika. Jest całkiem czysty. A co do kostiumu - uśmiechnął się - to przecież go masz. Twój własny, naturalny.

Pokręciła głową.

- Chcesz, żebym się kąpała nago? Dan, miało być bez pokus.

- I będzie bez pokus! - powiedział z zapałem. - Wszystko przecież zależy od nastawienia. Jeśli umawiamy się, że jesteśmy jak brat i siostra, to nic nam nie grozi.

- Oj, ty spryciarzu! - zaśmiała się Elizabeth. - Ale dobrze. Jak przygoda, to przygoda! Czemu nie mielibyśmy spróbować.

Poszukali sobie ustronnej zatoczki, obrzeżonej sosnowym zagajnikiem. Dan rozebrał się pierwszy, po nim Elly. Wbiegli do wody, trzymając się za ręce.

- Popłynemy wzdłuż brzegu - zaproponował Dan. - Na przykład do tamtego zwalonego drzewa, o tam, widzisz? To będzie ze sto pięćdziesiąt metrów. Dasz radę?

- Zobaczymy... Pływam głównie pieskiem. I trochę na plecach.

Ruszyli. Ciepła mgiełka nad wodą sprawiała, że

czuli się jak zanurzeni w ciepłej wannie. Dan uśmiechał się, patrząc na chlapaninę Elly, ale nie robił żadnych uwag. Gdy obróciła się na plecy, jej ruchy nabrały gracji. Pełne piersi były jak śliczne wysepki. Dan nie mógł od nich oderwać, wzroku.

Przy zwałonym pniu pobaraszkowali przez chwilę, oglądając w płytkiej wodzie ławice rybek, które jak na komendę wykonywały te same zwroty.

Wracali, trochę idąc, trochę płynąc, bo dno nie było równe. Elly od czasu do czasu podejrzliwie obserwowała brzeg.

- Nie bój się - uspokajał ją Dan. - Na pewno nikt nas nie podgląda. A gdyby nawet: to co? W tych czasach golizna nie jest żadną sensacją.

Elly gotowa byłaby mu uwierzyć, gdyby nie to, że właśnie sama odczuwała pewne sensacje na widok jego nagości: wyrzeźbionego torsu, ramion, ud...

Na brzegu, by nie zmarznąć, czym prędzej wytarli się bawełnianym fartuchem ogrodniczym. Gdy się ubrali, zaczęli jeść kanapki. Fartuch rozłożyli na słońcu, żeby sechł. Słońce świeciło coraz mocniej, wcale nie jesienią. Anna zrobiła im bułki z ementalerem i szynką, dodając też torebkę krojonych wzdłuż korniszonów. Nie zabrakło do kompletu butelki białego wina.

- O wszystkim pomyślała! - cieszyła się Elly.
- Owszem, spójrz. Jest nawet korkociąg. I dwa kubeczki.

Jedli przez chwilę w milczeniu. W ich ciałach była

lekkość. Krew żywo pulsowała. Sycili oczy igranie światła na drobnych falach jeziora.

- Czuję się trochę... - Elly zrobiła figlarną minę jak gimnazjalistka na wagarach.

- ...dokazująca ze swym chłopcem na golasa!

- No nie, Dan... - Elly udała, że jest zgorzozona.

- A w ogóle powinieneś wiedzieć, że w szkole byłem raczej dość nieśmiała. Żadnego dokazywania z chłopakami.

Spoglądali na siebie z uśmiechem. I ona raptem poczuła, że chciałyby, aby Dan położył się teraz przy niej. Po prostu się położył. Mieliśmy być przecież jak brat z siostrą, pomyślała i spuściła oczy.

- Ciekaw jestem, ile razy moglibyśmy to zrobić?

- powiedział nagle Dan.

Drgnęła, zaskoczona. Czyżby czytał w jej myślach?

- Co takiego zrobić? - zapytała ostrożnie.

- No, tak zniknąć jak dzisiaj.

- Ach... - zaśmiała się. - Sądzę, że przyłapałiby nas już za drugim razem. - Sięgnęła po następną kanapkę z szynką i po ogórki.

- A jednak spróbujmy - zaproponował. - I może od razu jutro, co? - Dolał wina sobie i Elly. - Nie mam ochoty tkwić biernie w zamczysku i czekać na to, jaką nową strategię obmyśli względem mnie Jacob z doradcami. Mam nadzieję - Dan wstał z pnia, na którym siedzieli - że nie stosuje się już tutaj żadnych średniowiecznych metod walki dynastycznej.

- Średniowiecznych?

- No wiesz... tych wszystkich klasycznych rozwiązań z wieżą, sztyletem czy cykuta, jak w „Hamlecie”.

Elly zaśmiała się, odrzucając w tył głowę.

- Masz naprawdę bujną wyobraźnię! Jacob wydaje się czasem obcesowy, ale przecież nie posunie się do zamordowania własnego brata. Daj spokój! Elbia to jednak cywilizowany kraj.

Dan przystanął nad Elly.

- Odchyl jeszcze na chwilę głowę. Coś zauważyłem.

- Co się stało?

- Odchyl.

Ukazała szyję, a wtedy on ją tam szybko pocałował.

- Bardzo pragnąłem tego cały dzień - powiedział cicho. Po tych słowach usiadł grzecznie na swym miejscu.

Czuła, jak przeniknął ją ciepły dreszcz. I pomyślała, czemu właściwie tak się opiera temu miłemu, pięknemu mężczyźnie, ba, prawie księciu z bajki? Czy to jakiś instynkt gry? Bo chyba nie owa wymyślona obawa przed ciążą, rzeczywiście łatwą do uniknięcia w dwudziestym pierwszym wieku.

W tej samej chwili wydało jej się, że gdzieś niedaleko usłyszała szelest. Rozejrzała się szybko.

- Co to było?

- Gdzie? - Nachylił się ku niej, jakby ją zamierzał drugi raz pocałować.

Powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie słyszałeś?

- Nie, nic.

Znów zaszleściło, czy jakby cicho zawarczało. Elly podniosła się. Wpatrywała się w napięciu w zagajnik sosnowy. Dan teraz też coś usłyszał.

- Może to po drugiej stronie jeziora? - Oboje spojrzeli ku wodzie. - Dźwięki po wodzie niosą się daleko... Może było to jakieś zwierzę?

- Lepiej już chodźmy - powiedziała Elly. Intuicja podpowiadała jej, że cokolwiek wywołuje owe hałasy, nie jest tak niewinne jak wiewiórka albo świstak. Musi to być stwór większy i taki, z którym nie warto zawiierać bliższej znajomości.

Nazajutrz rano obudziło Dana stanowcze pukanie do drzwi. Uchylił powieki i zerknął na swój zegarek z wyświetlaczem. Nie było jeszcze ósmej.

- Co, u diabła! - zaklął cicho. Przywykł ostatnio sypiać dłużej, bo nic tutaj nie nagliło do wczesnego wstawania. Przypomniał sobie, że chyba zaplanowali na dziś z Elly kolejny wypad poza mury miasta. Ale przecież nie o świcie. - Kto tam! - zawołał.

W podświetlonym prostokącie drzwi stanęła Elizabeth. Sięgnęła do kontaktu.

- Ach, więc to jednak ty... - Dan przysłonił ręką oczy, bo raziło go nagle zapalone światło. - Ale dlaczego tak wcześnie?

- Ubieraj się, wstawaj! - Elly rzuciła na krzesło gazetę. - Jesteśmy w kłopotcie. Twój brat jest na nas niebywale wściekły. - Zaczęła chodzić po komnacie.

Dan przeciągnął się pod kołdrą.

- Zostaliśmy zdekonspirowani - domyślił się. - No dobrze, ale co z tego? - Uśmiechnął się z lekceważeniem.

- Sprawa jest poważniejsza, niż myślisz. Pamiętasz te dziwne odgłosy nad jeziorem? Już wiem, co to było.

- Wiesz?! - Wsparł się na łokciach, zaciekawiony.

- Tak. Słyszałeś pewnie kiedyś, jak pracuje profesjonalna kamera. Zwłaszcza podczas przewijania kasety.

- O, do licha! Ktoś nas filmował?

- Właśnie. - Podała mu gazetę. - Obejrzyj to sobie.

Miała w rękach jakąś gazetkę brukową. Trzy czwarte pierwszej strony zajmowała fotografia ukazująca mężczyznę całującego kobietę, gdzieś nad wodą. Podpis głosił: „Książę i jego piękna kochanka - szczegóły na stronie numer 3”.

- Nawet podobni do nas... Ale jak ten facet z kamerą nas podszedł? I tak blisko... - dziwił się Dan.

- To powiększenie. Fotografia nie jest, jak widzisz, ostra.

- No tak. Racja. - Zwrócił gazetę Elly. - Ciekawe, czy był to przypadkowy paparazzi, czy jednak ci specjaliści skradali się za nami od samego zamku?

- Ba! Kto to zgadnie.

Dan wstał, podszedł do komody i pogrzebał w czystej bieżźnie. Ruszył ku łazience. Przystanął.

- Rozumiem, że jego wysokość widział już ten szmatławiec?

- To jasne. I dlatego jest wściekły. Ale ty nie zajrzałeś jeszcze na trzecią stronę gazety. Figurujemy tam oboje nago.

- O, do diabła! Rzeczywiście... Tu, jak się rozbieramy... Tu, przy zwałonym pniu... Czuję się winny.

- Podniósł głowę. - To ja cię namawiałem... I co teraz zrobimy? - W jego spojrzeniu, obok skruchy, było też jednak trochę rozbawienia.

Elly odpowiedziała cieniem uśmiechu.

- Nie wiem. Jak to się mówi, stawimy chyba czoło sytuacji? Mam nadzieję, że nie ucierpi na tym reputacja Biura Genealogicznego Andersona.

Król Jacob wydawał się naprawdę rozsierdzony.

- Nie jesteśmy winni - powtórzyła Elly kolejny raz. - Staraliśmy się być naprawdę dyskretni. Wybraliśmy całkowicie ustronne miejsce. Winien jest ten, który podgląda, nie podglądany.

Rozumiała jednak, że ich eskapada w przebraniu w istocie miała w sobie coś szelmowskiego. Całe szczęście, że dobrej „cioci Annie” nie wymówiono posady. Bo, zdaje się, nie wymówiono.

- Dyskretni! Ustronne miejsce! - prychnął Jacob.

Pchnął po stole dwie inne gazety w stronę Elizabeth i Daniela.

- Patrzcie, Niemcy i Francuzi zrobili z wczorajszego wydarzenia cały „Skandal królewski”, a nawet „Aferę o charakterze międzynarodowym”!

- No nie, to już kompletne nonsensy! - Dan przesuwał gazety. - Wasza wysokość mógłby tym pismakom wytoczyć proces. - Zwrócił dzienniki Jacobowi.

Elly znów próbowała użyć argumentów, że przecież nic złego nie zrobili.

- Kapaliśmy się tylko, biwakowali, byliśmy na wycieczce.

- Ale rzecz dotyczy mego królewskiego brata! - Jacob stukał palcem w fotosy. - „Król jest nagi”! Spójrzcie na ten podpis! To przecież cytat z Andersena, prawda? Wymowa cytatu nie jest dla nas pochlebna... Nawet jeśli wytoczymy proces, nie da się zaprzeczyć, że brat królewski paradował publicznie nago.

- Niekoniecznie publicznie. Raczej na uboczu, pod lasem, nad jeziorem... I w porze roku, gdy nikt się nie kąpie.

- Jacob - włączyła się Allison. - Za długo trzymałeś naszych gości w zamknięciu. Próbowali się wyrwać na wolność. Odwlekasz podjęcie decyzji...

Elly posłała jej pełen wdzięczności uśmiech.

Jacob nabrał powietrza.

- Już wkrótce coś postanowimy - burknął.

- Postanowimy? - Dan poprawił się w krześle. -

Doprawdy? Ale jako „my, król” czy może jednak jak brat z bratem?

Jacob zmierzył Dana nieprzyjaznym spojrzeniem i nic nie odrzekł.

Elly chciałyby coś zrobić, aby ci dwaj mogli się do siebie zbliżyć, polubić nawzajem, współdziałać ze sobą. Ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Może Allison jej pomoże? A jeśli na wszystko jest za późno?

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Elizabeth poważnie obawiała się o reputację Biura Genealogicznego Andersona i ostrej krytyki ze strony ojca. Frank nie robił jednak na razie żadnych uwag.

Rozmyślała też nad swoim stosunkiem do Dana. Cele życiowe ich obojga wydawały się rozbieżne, zarazem istniała między nimi coraz mocniejsza więź. Jak wybrnąć z tej trudnej sytuacji? Miałaby dla jakiejś abstrakcyjnej „obawy o życie” zrezygnować ze wspólnej przyszłości z dobrym, silnym, pięknym i mądrym, pełnym fantazji mężczyzną? Nie, nie, przecież to nonsens.

No a co ze skandalem? W ciągu dni, które nastąpiły po owej schadzce nad jeziorem, media mnożyły domysły, plotki, fotosy, a w końcu i fotomontaże z udziałem „księcia i jego kochanki”. Służba prasowa króla zarejestrowała, że co najmniej piętnaście wielkich gazet, w tym amerykańskich, napisało w tonie sensacji o Danielu Eastwoodzie i Elizabeth Anderson. A wśród owych gazet były nie tylko brukowce, ale również „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i „The Washington Post”. Oczywiście dzienniki ambitniejsze bagatelizo-

wały sensację, umieszczając doniesienia o niej na dalszych stronach. W każdym razie sekretariat prasowy Jacoba zbierał wszystkie wycinki i powielał je, dostarczając kserokopie Eastwoodom i Andersonom do salki, w której spożywano posiłki.

Teraz właśnie Elizabeth kończyła śniadanie, przeglądając taki plik. Daniel wpadł tylko na kawę i zaraz wyszedł. Może spieszył do salki treningowej?

Wątpliwe - zastanawiała się Elly - żeby mięśnie lubiły wysiłek po samej kawie. Odsunęła krzesło, zgarnęła wycinki prasowe i ruszyła ku wyjściu. W korytarzu, przez jedno z łukowych okien, spojrzała na ogród. Siedzieli tam na drewnianej ławeczce Madge i Frank, w ciepłych kurtkach, wystawiając twarze do wczesnego słońca. Madge sięgnęła do torebki i wyjęła coś, jakby obrazek, pokazując go Frankowi. Mogła to być, na przykład, fotografia małego Dana, pomyślała Elly. Frank uśmiechnął się, pokiwiał głową i zaczął coś mówić. Elly także się uśmiechnęła. Oto starsi państwo dzielą się wspomnieniami... Wydają się oboje być tacy pogodni. Przynajmniej oni są tu zadowoleni!

Poszła dalej i zaraz posłyszała głośne śmiechy, dobiegające zza zakrętu korytarza. Korytarz prowadzący ku jadalni obwieszony był gobelinami tkanymi w sceny alegoryczne; grupka, która wychynęła zza rogu, sama wyglądała na rodzaj alegorii. Szła oto matka z dzieckiem na rękę, drugą ręką trzymając starszą po-

ciechę. Była to królowa Allison z malutką Kristiną oraz księciem Crayem. Elly poweselała na ich widok.

Jacy oni ładni... pomyślała. Sama chciałaby prowadzić kiedyś takie dwie pociechy. Chciałaby? To coś nowego, zreflektowała się. Ja przecież nie mogę mieć dzieci.

Już po chwili witała się z Allison, po czym przykucnęła przy Crayu.

- Cześć - powiedziała. - Gdzież to prowadzisz mamusię i Kristinę?

- Idziemy się pobawić - odpowiedział książę. - A wiesz, że ja rozmawiałem dzisiaj przez terefon?

- Chyba przez telefon?

- Terefon, a nawet terrofon - zaśmiała się Allison. - Bo Cray wciąż terroryzuje nas telefonicznie. Gdziekolwiek zadzwoni aparat, on puszcza się biegiem i pierwszy łapie za słuchawkę. - Poklepała lekko malca po główce. - Taki łobuz!

Elly wyprostowała się i spojrzała na Kristinę.

- Śliczna jesteś - powiedziała. - Mogłabym? - zwróciła się do Allison i wyciągnęła ręce do dziewczynki.

Allison podała jej córkę.

- Idziemy do pokoju bawialnego - powiedziała. - Zapraszam z nami... Mam nadzieję - zmieniła ton - że nie przejmują się państwo zanadto całą tą nagonką prasową. Trzeba zachować dystans.

- Może i nie... - zawahała się Elly. - Dan jest jed-

nak człowiekiem czynu... - Spojrzała na królową. - Mówi, że trzeba jakoś zareagować. A czuje, że ma związane ręce, bo jego status jest tutaj niewyjaśniony.

- No tak - przyznała Allison - Jacob zbyt długo przewleka całą sprawę. A swoją drogą - dodała - wytrzymywanie naporu mediów to jedna z cięższych prac, jakie przytrafiły mi się, odkąd jestem w Elbii. Życie na świeczniku ma swoje niemiłe strony.

Dotarły do schodów.

- Widzi pani - wyjaśniała dalej Allison. - Jestem żoną Jacoba od dwóch lat. - Chwyciła mocniej wyrwijącego się Craya. - A przedtem mój jedyny kontakt z prasą polegał na robieniu wycinków tematycznych w dziale literatury dziecięcej pewnej biblioteki na Manhattanie.

Elly nie chciała powiedzieć, że wie to i owo o początkach małżeństwa Allison. W telewizji przed dwoma laty sporo rozprawiano o tym, jak to narodziny dziecka poprzedziły ślub pewnej młodej Amerykanki ze środkowoeuropejskim księciem. Wówczas Elly nie bardzo śledziła tę historię, ale zapamiętała główne fakty.

- Rozumiem, że cierpi pani chronicznie na brak prywatności. Czy żony władców w ogóle mają jakieś życie prywatne?

- We własnym wyobrażeniu może i tak, ale nie w pojęciu paparazzich. Tu, na miejscu, oswoiliśmy sobie co prawda dziennikarzy - uśmiechnęła się Allison.

- Gorzej jest, gdy wypuszczamy się gdzieś w świat. Wtedy z reguły gonią za nami łowcy sensacji. Jesteśmy dla nich może dlatego atrakcyjni, że egzotyczni. Para władców mikroskopijnego państewka...

Elly czuła się ujęta bezpośredniością i humorem królowej Allison. Postanowiła się jej poradzić.

- Jak pani sądzi? Kiedy paparazzi dadzą spokój mnie i Danowi? Długo to wszystko potrwa?

Allison pogładziła policzek małej Kristiny.

- Kilka tygodni? Wiele zależy od tego, kiedy znajdą sobie inną smakowitą sensacyjkę.

Były już na piętrze, prawie pod drzwiami pokoju zabaw.

- A gdzie jest pan Daniel? - zainteresowała się królowa. - Wracła pani ze śniadania sama?

Elizabeth zrobiła zakłopotaną minę.

- Dan nie cierpi beczynności. No i nie znosi też, aby nim ktokolwiek dyrygował. Czuje się pod presją... Zrobił się trochę nieprzewidywalny.

- Charakterek podobny do brata! - wpadła jej w słowo Allison. - Szkoda, że obaj nie potrafią się ze sobą jakoś lepiej porozumieć. Ale może potrzebują nieco więcej czasu?

- Być może - zgodziła się Elly. I pomyślała, że również między nią i Danem potrzeba chyba czasu, nim się to i owo do końca wyjaśni.

Istnieją emocje nie do ujęcia w słowa, uczucia ulotne, wieloznaczne, biegunowe. Wszystkie rzeczy mają

swój czas - mówi stare porzekadło. Czas jest także lekarzem duszy.

Dwa dni wcześniej był specjalnie u matki, aby jej się wytłumaczyć z tego, o czym zdawało się trąbić pół świata.

O dziwo, Madge nie wydawała się zgorzona. Raczej rozbawiona i odprężona, bo uwaga publiczna skupiła się teraz na młodym pokoleniu. Ona sama mogła się poczuć bezpiecznie. Nie dłużyło jej się też w zamku; pobyt tutaj traktowała jako coś pośredniego między wczasami a sanatorium.

- A wiesz - powiedziała Danowi - ta Elizabeth to właściwie bardzo miła dziewczyna. Z początku wydawała mi się niesympatyczna. Ale teraz rozumiem, że w Ocean City wykonywała tylko swoją pracę.

Dan przyjrzał się matce. Czy na swój sposób nie chce mu powiedzieć, iż zaakceptowała Elly?

Pożegnał się z Madge, nie prosząc o bliższe wyjaśnienia. Czuł, że i tak ma dość spraw na głowie; zbyt wiele rzeczy domagało się decyzji, i to szybkiej.

Przeszły dwa kolejne dni. Trzeciego Dan obudził się rano gotów do działania. Szybko się ubrał i jeszcze przed śniadaniem poszedł do biura sekretarza prasowego. Poprosił o nowe gazety. Przed chwilą właśnie dostarczono dzienniki do zamku. Przez wszystkie wciąż przewijała się historia znad jeziora. Dan spytał, czy mógłby pożyczyć parę tytułów. Udostępniono me

je, zatem ruszył z nimi pod pachą prosto do pokoju Elly.

Była ósma, gdy zapukał do drzwi.

- Proszę - odpowiedział mu nieco zaspany głos.

- Ach... - uśmiechnęła się, gdy wszedł. - A ja myślałam, że będzie to może znowu ten miły służący, który wczoraj przyniósł mi kawę.

- Kawa poczeka! - Dan machnął plikiem gazet, puszczając mimo uszu wiadomość o „miłym służącym”. - Przyjrzyj się dobrze tym gazetkom. Dziś rano coś mnie oświeciło. - Wręczył Elizabeth to, co przyniósł.

Oparła się o poduszki. Z niechęcią zaczęła oglądać repliki znanych już zdjęć i ujęć.

- Nie widzę nic nowego - ziewnęła. - Chyba może to, że z pierwszych kolumn sensacje przewędrowały tu i ówdzie na nieco dalsze miejsca... Dobre i to!

- Ale te wszystkie teksty obok obrazków... - prowadzał ją Dan.

- No cóż, mnóstwo bredni. „Tajemniczy książę i jego sekretna kochanka”, „Dama z Jeziora i jej oblubieniec”... Co za bzdury!

- No właśnie. - Dan przysunął sobie krzesło i usiadł. - Popatrz, te pismaki nic tak naprawdę nie wiedzą. Zmyślają. Nawet w „Expressie” londyńskim. Albo w „Los Angeles News”. Spekulują, bo brakuje im rzeczywistych informacji,.. Ale my moglibyśmy im

właśnie dostarczyć informacji. To mnie oświeciło dziś rano.

- My? Im? - Elly z niedowierzaniem pokręciła głową. - Co za przewrotny pomysł. Dan, czy ty się na pewno dobrze czujesz? - Przyjrzała mu się badawczo.

- Czuję się świetnie. Moglibyśmy położyć kres niedowarzonemu plotkom. Prawda jest czymś, czego nie musimy się obawiać... Poproszę Jacoba, żeby zorganizował konferencję prasową.

- Na pewno wiesz, co mówisz? - Elly kręciła głową. - A cóż można prasie powiedzieć? Że co robiliśmy nad jeziorem? Bawiliśmy się w Adama i Ewę? W braci i siostrzyczkę? Ależ będzie śmiech!

Daniel zacisnął usta i zmarszczył czoło. Hm, rzeczywiście. Są tu pewne komplikacje.

- A przede wszystkim - Elly niechętnym gestem zepchnęła gazety z łóżka - jaką wersję dla prasy, podczas owej konferencji, podałyby sam Jacob? Przecież on wciąż jeszcze nie ma pomysłu, co zrobić z tobą i z Madge. Czym się będzie mógł pochwalić mediom?

Dan wstał i zrobił parę kroków w stronę okna. Nad doliną alpejską ukazał się właśnie rąbek słońca.

- Niby racja - przyznał. - Za wcześniej na konferencję... - Odwrócił się. - Ale przecież coś trzeba zrobić! Nie możemy w nieskończoność mieszkać w pałacu! To nie jest prawdziwe życie!

- Jacob odleciał wczoraj do Wiednia. Ma tam spot

kanie w sprawach ekonomicznych czy finansowych - powiedziała Elly. - Podobno będzie z powrotem nie wcześniej, jak pojutrze.

- No to mamy czas do namysłu. Ale do jego powrotu powinniśmy już coś wymyślić! Jeśli doradcy króla nie są w stanie zaproponować nam nic sensownego, to może my im coś zaproponujemy? - Znowu zaczął chodzić po komnacie. - Właściwie czuję się winny... Może to przez mój brak zdecydowania tak długo tutaj wszyscy tkwimy. Odrzucam kolejne oferty... - Przystanął i uśmiechał się niepewnie. - Muszę się jakoś w końcu porozumieć z królem. On zdaje się jeszcze mniej niż ja wie, czego chce.

Elly odrzuciła kołdrę i usiadła na krawędzi łóżka. Wyciągnęła rękę.

- Chodź, Dan - powiedziała. - Nie martw się tak... Nie uważam wcale, żeby ci brakowało zdecydowania. - I nagle przyszło jej coś do głowy. Zmieniła ton na niemal figlarny. - A wiesz co? Byłby z ciebie rzeczywiście niezły tatuś!

Zaśmiał się. Wydało mu się, że się przesłyszał.

- Co takiego? Tatuś?

- Starasz się być odpowiedzialny... - wyliczała. - Zaradny też jesteś, sprawiedliwy i, zdaje się, domator. Opiekuńczy. Silny. W dodatku, rzecz podstawowa: lubisz dzieci.

- To prawda, lubię... Ale dlaczego mi to wszystko mówisz? Właśnie ty? I teraz?

Wstała i zakręciła się wokoło.

- Nie mam pojęcia! - Podbiegła do okna. Promienie słońca prześwieciły jej miedziane włosy. - Patrz, jaki świat jest piękny! - Pokazała góry za oknem.

Ruszył za nią, bardzo chciał jej dotknąć. Światło przenikało jej koszulę nocną, wydobywając zgrabny zarys postaci, biustu, pośladków. Wydała mu się wprost zjawiskowa. Całą mocą woli Dan powstrzymywał chęć, by rzucić się na nią. Stał dwa kroki od niej, mieniąc się na twarzy.

- Co się dzieje, Dan?

- Elly, ty dobrze wiesz, co się dzieje... - Szedł ku niej. - Pragnę cię od pierwszej chwili, gdyśmy się poznali! A ty mnie trzymasz wciąż na dystans. - Zawahał się. Potem zrobił w tył zwrot, podszedł do krzesła przy łóżku i usiadł na nim. - Chciałbym wiedzieć, co ci każe tak postępować? Przyciągasz, odpychasz...

Zbliżyła się do niego.

- Dan, to nie tak...

- A jak? - rzucił porywczo. Wstał. - Nie jesteśmy parą nastolatków, żeby się tak dręczyć! Niby to boisz się ciąży, ale przecież doskonale wiesz, jak się przed nią zabezpieczyć.

- Danielu, to chyba rezultat tej nieszczęsnej różnicy naszych celów życiowych... Ja się boję zranić ciebie i dlatego pewnie nie chcę, żebyś się do mnie naprawdę zbliżył. Nie chcę, byś przez to cierpiał... Rozmawialiśmy już o tym.

Objął ją.

- Elly... Czy musimy w każdej chwili planować nasze życie... na całe życie? Przecież ludzkie plany i tak nigdy się nie urzeczywistniają w całości.

Milczała. Potem przytaknęła ruchem głowy.

- Tak, to prawda.

- A więc - rzekł i odsunął się nieco - panno Anderson, czy choć przez parę godzin nie moglibyśmy pobyć ze sobą tak, jak tego od dawna oboje pragniemy? Bez dalekiej wizji, stąd do wieczności?

Przelał się trochę swoich słów, bo przecież nie był do końca pewien, czy rzeczywiście oboje pragną tego samego. Lecz ona zrobiła krok ku niemu i mocno się przytuliła.

- Dobrze, Dan. Już dobrze. Jeśli tego tak bardzo chcesz, możemy spróbować.

Złączyli się w pocałunku. Tylko krok dzielił ich od łóżka i po chwili usiedli na nim. Elly zsunęła z ramion koszulę nocną; Dan zaczął rozpinąć spodnie. Wyjął z tylnej kieszeni portfel, z niego zaś wydobył małe opakowanie.

- Zawsze coś takiego nosisz?

- Nie zawsze - odpowiedział szybko. - Kupiłem to na Orły. Miałem nadzieję, że jednak się przydadzą...

Objęła go i pociągnęła ku sobie. I teraz leżała pod nim tak, jak tego pragnęła. Dan całował jej usta, oczy, szyję, piersi. Starał się jej zbytnio nie przygniatać. Pomógł mu rozpiąć koszulę, ściągnąć spodnie i szorty.

Opakowanie prezerwatyw spoczywało jawnie na szafce nocnej. To znak, że Dan czuje się odpowiedzialny.

Po chwili Elly wyslizgnęła się spod niego i przyklękła w pobliżu.

- Co się stało?

- Nic, nic... - Pogłaskała jego ramię. - Pragnę cię widzieć. Ty jesteś przecież jak żywa rzeźba. Chcę popatrzeć.

Poruszył mięśniami klatki piersiowej. Uśmiechnął się.

- Masz biust nie gorszy od mojego.

Rzucił się ku niej.

- Elly, zaraz cię zjem!

Całowali się, nie zamykając oczu. Podobali się sobie, przenikali się spojrzeniami. Dan przesunął dłoń po brzuchu Elly. Oddychała coraz szybciej; myśl o jakimkolwiek zagrożeniu odpłynęła. Sięgnął szybko po to, co zostawił na szafce nocnej. Uwolnił się delikatnie z objęć Elly. Po chwili ujął jej dłoń i położył na swej męskości.

- Widzisz? - szepnął. - Jesteś bezpieczna.

Uśmiechała się z zamkniętymi oczami. Znów objęła go za szyję. Zagościł w niej od razu. I od razu znaleźli wspólny rytm. Ponownie patrzyli sobie w oczy; oczy Elly wzywały go, szeroko rozwarte, wzywały całego, ciałem i duszą... I zaczął się w nią przeistaczać. Ona zaś, pod wpływem jego oddania, oddawała się jemu, przeżywając powtórny rozkosz. I tak pulsowali razem:

wypełnione sobą dwa światy, nie pamiętające o żadnym innym świecie.

Na zewnątrz była jednak jakaś rzeczywistość. Za oknem rozlegały się głosy, po ścianie wędrowały plamy słoneczne, był dziwny, ciepły grudzień... Istniało też królestwo Elbii, z pałacem, w którym wciąż jeszcze prawdopodobnie można było pójść na śniadanie...

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rozmowa przy stole podczas śniadania wydawała się Elly nudna i bez znaczenia. Znaczenie miała więc z Danem, złota nitka przesywająca ich oboje.

Dan siedział teraz naprzeciwko, milkliwy i zamyślony. Napił się kawy, spróbował paru potraw, potem wyszedł.

Elly przeprosiła Madge, ojca i Allison, powiedziała, że prawdopodobnie z powodu nawału zajęć nie zdaży na lunch, i też się pożegnała. Ojciec posłał córce zdziwione spojrzenie.

Zaledwie wróciła do pokoju, rozległo się pukanie. Wszedł Dan. Nie umawiali się co do tego, ale oboje z zapałem podjęli dalszy ciąg miłego poranka. Kochali się, potem gawędzili, znów się kochali i znów gawędzili. Dowiadawali się o sobie nawzajem wszystkiego, poczynając od dzieciństwa, a kończąc na perspektywach kariery, ulubionych kolorach, potrawach, zwierzętach, miejscowościach, muzyce i książkach. I tak spędzili ze sobą cały dzień!

W końcu Elly, z zamglonym spojrzeniem, oparła się na poduszkach i powiedziała, że jest naprawdę głodna.

- Dan, chodźmy na kolację.

- A nie mogliby nam jej tutaj przynieść? Może zadzwonimy?

Odgarnęła włosy z czoła.

- To nie hotel. Poza tym, gdyby nas zobaczyli razem w łóżku, wzmogłyby się plotki o nas. Po wydarzeniach nad jeziorem i tak już wszyscy uważają nas za parę, nie tylko dziennikarze.

- A co w tym złego? W niczym nam to nie zagraża... W ogóle nic ci nie grozi - objął ją ramieniem - kiedy jesteś ze mną.

- Ach, ty mój rycerzu!

Elly zaufała mu. Czuł to wyraźnie. Jej dziewczęce koszmary zdawały się dalekie. Pocałował ją w czoło, objął drugim ramieniem i pokołysał.

- No dobrze - jeszcze raz ją pocałował - chodźmy na tę kolację.

Spojrzała na niego.

- Bardzo możliwe - powiedziała - że Jacob wrócił już z Wiednia. Podobno skrócił swoje negocjacje. Będziecie mogli podyskutować.

Zsunęli się z łóżka i zaczęli ubierać.

- Myślisz, że warto w ogóle zaczynać? - Dan dopinał spodnie. - Twarda sztuka ten mój braciszek.

- Ty też jesteś raczej uparty... Na pewno nie nie-
zdecydowany! - Uśmiechnęła się do niego.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem.

Dan zajął swoje miejsce przy ciężkim drewnianym stole na krzyżakach, naprzeciw Allison, siedzącej z maluchami po bokach. Jacob rzeczywiście wrócił z podróży i teraz siedział u szczytu stołu, mając rodzinę po swej prawej stronie. Po chwili do sali jadalnej weszła Elly, a za nią Madge i Frank Anderson.

Allison wypytywała męża o podróż, a on dzielił się z nią jakimiś niezbyt istotnymi obserwacjami. Wydawał się być nie w humorze. Parokrotnie spoglądał na Dana, jakby chciał mu coś powiedzieć, nie mogąc jednak znaleźć właściwych słów. Dan milczał, z oczami wbitymi w talerz. Napięcie między nimi wyraźnie rosło.

Na stole pojawiały się tymczasem kolejne potrawy. Każdą przynosił inny podkuchenny. Elly zdążyła się już nauczyć imion kilkorga osób ze służby. Jako pierwsza pojawiła się teraz Rachel, rodowita Elbianka. Spod białego czepeczka wysuwały się blond warkocze. Następnie pojawił się Friedrich, siwy, smutny chudzielec, którego spojrzenie rozjaśniało się tylko wtedy, gdy popatrywał ku królewskim dzieciom, Crayowi i Kristinie. Był wiedeńczykiem, służącym von Austerandom od trzydziestu lat. A oto Maria, która była czarnowłosą florentynką w średnim wieku, kobietą pełną temperamentu, prawą ręką szefa kuchni.

Wraz z czwartą potrawą, zupą z krabów, pojawił się ktoś dotąd nieznany. Był to młody mężczyzna o rozbieganym spojrzeniu. Poruszał się zgrabnie, ale nie cał-

kiem zgodnie z protokołem. Operował chochłą na lewo i prawo, także w poprzek stołu. Elly nieznacznie trąciła łokciem Dana.

- Przyjrzyj mu się - szepnęła.

Dan zerknął, po czym wzruszył ramionami.

- Pewnie się przyucza - powiedział.

Po drugiej stronie stołu wesoło szczebiotały dzieci Allison. Cray obwieszczał właśnie wszystkim, że namalował dziś wielki obraz, posługując się samymi rączkami, bez pędzla.

- Taki wielki i niebieski, i czerwony, i żółty! - wołał. - I to malowanie było takie śliskie, takie śliskie jak kisiel!

Allison powiedziała, że obraz właśnie schnie, przypięty do dużej korkowej tablicy i kto ciekaw, proszony jest do pokoju dzieci na wernisaż. Po kolacji.

Wrócił młody kelner, niosąc na tacy desery. Porządkował je teraz na monumentalnym, mahoniowym bufecie, stojącym za plecami Allison. Manipulował miseczkami, szczękał łyżeczkami, równocześnie usiłując jakby coś ukryć w rękach. Elly usłyszała parokrotnie miękkie kliknięcie, niepodobne do brzęku sztućców. Co on robi? Czy nikt tego nie widzi, nie słyszy, nikt go nie powstrzyma?

Niepotrzebnie się obawiała. Bowiem w tym samym momencie, przewracając krzesło, Dan rzucił się ku bufetowi, schwycił kelnera za kark i cisnął go o podłogę. Przygwoździł kolanem do ziemi.

- Wezwijcie ochronę! - zawołał.

Komenda była właściwie zbyt cicha, bo strażnicy zjawili się prawie natychmiast. Elly doszła do wniosku, iż sala jadalna musi być pod obserwacją. Poszukała wzrokiem kamer w narożnikach i rzeczywiście je tam dostrzegła.

Powstało spore zamieszanie, dzieci krzyczały ze strachu, Jacob usiłował ciałem osłonić swoją żonę, Madge pokazywała ręką i wołała:

- On ma rewolwer, uważajcie!

- Nie, nie, to tylko aparat fotograficzny - uspokajał szef straży. Podniósł do góry i pokazał mały przedmiotek.

Zaatakowany młody człowiek protestował po angielsku.

- Jestem przedstawicielem amerykańskiej prasy! Znam swoje prawa! To jest napaść!

- Idioto, wdarłeś się tu w przebraniu - pouczał go Dan. - Sterroryzowałeś rodzinę królewską.

Wyprowadzono intruza. W jadalni zapadła cisza. Pochlipywały tylko dzieci.

- Ten pan już tu nie wróci... - Allison głąskała główki swych pociech. — A na deserek pójdziemy - zamilkła i poszukała przyzwolenia w oczach męża - do naszej bawialni, dobrze? Niech nam wszystko tam przyniosą.

Madge odstawiła krzesło.

- Ja chyba też pójdę już do pokoju - zamruczała.
- Głowa mnie od tego wszystkiego rozboleła.

- Odprowadzić cię, mamó? - zaofiarował się Dan.
- Może znaleźć ci jakąś tabletkę?
- Ja się zajmę panią Eastwood - zaproponował Frank Anderson. - Jeśli pan pozwoli - zwrócił się do Daniela.

Po chwili w sali jadalnej siedzieli już tylko Elly, Dan i Jacob. Popatrywali na siebie i nic nie mówili.

- To nie powinno było mieć miejsca - odezwał się w końcu von Austerand. - Przepraszam, jako gospodarz domu... Przed wszystkim jednak - tu lekko skłonił się w stronę Dana - ...panu dziękuję za interwencję.

- Drobiazg. - Wzruszył ramionami Dan. - W końcu to był tylko facet z kamerą. Nic groźnego.

- Ale równie dobrze mógł być uzbrojony, a pan się nie zawahał. Nigdy panu tego nie zapomnę. Nigdy.

Padały słowa pełne wdzięczności, ale wypowiedane jakby pod przymusem, chłodno.

- A co się stanie z tym człowiekiem? - zapytała Elly.

- Potrzymamy go tutaj parę dni. Jego gazeta będzie, oczywiście, protestować. Zgłosi się do nas ambasada amerykańska. My zgodzimy się na ekstradycję, mówiąc szumnie. Czemu nie. I będzie po wszystkim. A co - zapytał z lekką ironią - sądziła pani, że wtrącimy go tutaj na wieki do lochu?

Elly zaśmiała się.

- Kto wie! Może i tak. - Potem westchnęła i zaj-

rzała von Austerandowi w oczy. - Wasza wysokość...
- zawahała się - to wszystko powinno się już chyba wreszcie skończyć.

Odwrócił wzrok. Przez chwilę nic nie mówił i jakby się ze sobą zmagił. Potem podparł rękami głowę i, patrząc w stół, cicho powiedział:

- To prawda. Pora kończyć.

Daniel odchrząknął, a wtedy Jacob zwrócił się do niego:

- Szanuję to, że nie wyrzeka się pan nazwiska mego ojca... to znaczy naszego ojca. Rozumiem też, że mógł się pan poczuć urażony formą, w jakiej zaproponowano panu rekompensatę finansową. Zareagowałbym prawdopodobnie w pańskiej sytuacji tak samo.

W tym momencie do komnaty zajrzała Maria i pokazała na migi, że chciałyby pozbierać talerze. Jacob odprawił ją ruchem ręki.

- No tak, ale właściwie nikt z nas nie wie, co dalej. Czy pan wie, co należy zrobić? - Uśmiechnął się.

Daniel odwzajemnił uśmiech.

- Mam pewien pomysł - odrzekł.

- O! - ucieszył się król.

Elly skrzyżowała palce wskazujące i środkowe, starając się owym magicznym gestem pomóc Danowi.

- Może od początku szliśmy w złym kierunku - zaczął Daniel. - Ukrywaliśmy prawdę przed mediami. Sami chowaliśmy się przed nimi. To stworzyło nie-

zdrową atmosferę sensacji, domysłów, podglądania, aż do dzisiejszego wypadku.

- No, może, może... - król kiwał głową.

- A więc skończmy z tym. Zmieńmy front. - Dan spojrzał na Elly. - Zwołajmy konferencję prasową i wyłóżmy kawę na ławę... - Uśmiechnął się do Jacoba.

- A jaką mielibyśmy dla nich wspólną wersję?

- Taką, że odnalazł się starszy brat króla Elbii, który nie chce tronu ani pieniędzy...

- Ach tak, nie chce tronu... - upewniał się Jacob.
- Czy na pewno?

- Sam sobie bądź królem! - Daniel ujął kielich wina i trącił nim puchar Jacoba. - To przecież nie jest zawód dla mnie. Nie czułbym się jako król profesjonalistą - zażartował.

- Zawód! Może i zawód w dzisiejszych czasach - zastanowił się Jacob.

- Natomiast jakaś sumkę, coś w rodzaju spadku po Karlu, po naszym ojcu, przyjmie zapewne Madge. Przyda jej się to na stare lata.

Elly z uznaniem i uśmiechem popatrywała na Dana.

- Jeśli będziesz szczodry - mówił dalej - wspomóżesz też nieco ubogie maluchy z Baltimore. Prowadzę nadmorską szkółkę, projekt edukacyjny pod nazwą Dzieci Miasta. W tej chwili oszczędzę ci szczegółów.

Jacob rozsiadł się wygodniej w krześle. Wzniósł kielich i wypił łyk wina.

- Zgoda! Jestem nawet przyjemnie zaskoczony - dodał. - Rozumiem, że przeszliśmy na „ty”.

Nachylili się ku sobie i jeszcze raz trącili szkłem.

- Może i pani...? - zaproponował Jacob.

Powtórzono rytuał bruderszaftu z udziałem Elly.

Jacob wstał i przeszedł się po komnacie.

- Plan jest dobry, ale można by go jeszcze ulepszyć. - Opuścił głowę i zastanawiał się przez chwilę.

- Otóż proponuję... aby spotkanie z dziennikarzami połączyć z wielkim balem wydanym na cześć... - zawahał się - odnalezionego potomka von Austerandów i jego matki.

- Czy to konieczne? - Dan nie wyglądał na przekonanego.

- Zostaw to mnie - powiedział Jacob. - Ostatecznie królowie mają jakieś takie pojęcie o rytuałach. Wierz mi, to na pewno zrobi dobre wrażenie. Na wszystkich. I zadziała.

Elly z zapałem pokiwała głową i powtórzyła jak echo:

- To na pewno zadziała!

- No właśnie - ucieszył się z poparcia Jacob.

Usiadł i relacjonował dalej swój projekt:

- Oto dwaj bracia, zamiast rywalizować, wspierają jeden drugiego, cieszą się wzajemnie z odnalezienia.

- Spojrzał na słuchających. - A żeby dać jeszcze le-

pszą pożywkę prasie, zaprosimy wiele osób publicznych. Reporterzy będą biegali od jednej sławnej osoby do drugiej i może nam samym trochę się upiecze. Może nie będą się nami aż tak interesować.

- Bardzo dobry pomysł - pochwaliła Elly. A ponieważ Dan wciąż wydawał się mieć wątpliwości, nie mogła sobie odmówić żarciku: - Jeśli na bal przybędzie Clint Eastwood, obiektywy skierują się na niego, nie na Daniela Eastwooda. A byłoby jeszcze lepiej, gdyby zaproszenie przyjął Tom Cruise.

- Piękne dzięki - powiedział sucho Dan. Potem zwrócił się do Jacoba: - Zgoda, niech będzie bal. Tylko z łaski swojej zaznacz, żeby mi tu nie zapraszano żadnego Toma Cruise'a. Nie chcę szopki. Nie chcę też Clint .Eastwooda.

Gdy termin balu został ogłoszony, Allison postanowiła zaraz wezwać swoją najlepszą krawcową.

- Musi to być przyjemne mieć kogoś, kto uszyje ci, co zechcesz - wzdychała Elly, czekając wraz z królową w pokoju bawialnym na przybycie mistrzyni igły.

- Ja po prostu lubię być praktyczna. - Allison usiłowała uczesać Craya, który się wrywał. - Rzadko kupuję gotowe rzeczy. Nie lubię ekstrawagancji z najnowszych pokazów mody. Z Helen dobrze się zresztą rozumiemy. Nie lubię być rozrzutna.

Elly zaśmiała się.

- Jak to? Oszczędzasz na sukienkach? W tym pałacu, który aż kapie od złota?

- Hm, przypuszczam, że to kwestia nawyku. Całe życie, aż do zamążpójścia, żyłam skromnie. Opowiadałam ci: jeszcze dwa lata temu pracowałam po prostu w pewnej bibliotece. Nie pochodzę z rodu magnatów finansowych.

Elly kiwała głową. Coraz bardziej podobała jej się ta Amerykanka. Trzeba charakteru, żeby wśród wszelkiej obfitości nie zacząć jej nadużywać.

- No a co Helen miałyby ci uszyć tym razem? - zapytała.

- Prawdę mówiąc, nic. - Allison przerwała, aby powitać wchodzącą właśnie krawcową. - Zaprosiłam moją Helen nie dla siebie, a dla ciebie, Elly - uśmiechnęła się.

- Dla mnie? - Zdumienie Elizabeth nie miało granic.

- Łatwo zgadnąć, że nie przywiozłaś tu ze sobą ze Stanów sukni balowej. Nie przewidziałaś, że może ci się przydać.

- Ale...

- Zamek wciąż jest oblegany przez paparazzich, więc chyba nie będziesz się przedzierała na zakupy do miasta. A lot helikopterem do Wiednia kosztowałyby nas na pewno więcej niż usługa naszej Helen. Prawda? - Królowa objęła korpulentną kobietę, która już wypakowywała swoje żurnale, próbki tkanin, nożyce miarkę krawiecką, szpilki i tym podobne akcesoria.

- Mimo wszystko... - Elly protestowała. - Nie chcę cię narażać na kłopoty. Mówię szczerze! Właściwie nie w głowie mi sukienki - dodała. - Głównie cieszę się z tego, że Jacob i Dan doszli wreszcie do porozumienia. To jest naprawdę ważne.

- Ja też tak myślę - zgodziła się Allison. - Ale to nie przeszkadza, żebyśmy ci uszyły coś ładnego. Gretchen! - zwróciła się do niańki Kristiny i Cray a. - Zabierz teraz dzieci na spacer, dobrze?

Kiedy zostały we trzy z Helen, pochyliły się nad żurnalami. Równocześnie przeglądały próbki tkanin. Elly wybrała na suknię bladozielony jedwab, jako tło dla swoich rudych włosów. Lamówka do tego miała być kremowa. Ponieważ w garderobie królowej, o czym pamiętała, sporo było rzeczy rozkloszowanych, jej własna suknia powinna być chyba wąska?

- A gors zrobimy bez ramiączek - zaproponowała Helen.

- Przydałoby się też rozcięcie z przodu, o, takie jak tu - pokazała Allison. - Masz ładne nogi, Elly, więc nie ma co ich ukrywać.

W tym samym czasie w kancelarii królewskiej Jacob i Dan ustalali szczegóły wspólnego oświadczenia dla prasy. Sekretariat przygotował wcześniej szkic tekstu, którego Dan słuchał teraz z natężoną uwagą. Odczytujący go urzędnik płynnie przekładał z niemieckiego na angielski. Jacob kiwał głową i na zakończenie zapytał brata:

- No więc jak ci się to podoba?

- Akceptuję to bez zastrzeżeń. Mamy kwestię trowną i finansową. A propos, czy suma nie jest za duża? Nie spodziewałem się aż takiej hojności.

- Myślę, że twoja matka na to zasługuje. Jest mi przykro, że tyle lat czekała na jakieś zadośćuczynienie. Allison jest tego samego zdania.

- Jeszcze raz dziękuję. - Dan kiwnął głową. - Również za aneks dotyczący mych małych baltimorczyków.

Jacob pokiwał głową. Potem zwrócił się do swych doradców.

- Stronę czysto prawną pozostawiam w rękach panów, *meine Herren*. Czy są jakieś pytania?

- *Nein*, nie ma, wasza wysokość.

Na resztę przedpołudnia Dan został zaproszony do sali obrad, gdzie Jacob zwykł sprawować rządu. Zasiadł przy bracie i przyglądał się z bliska, na czym w istocie polega wykonywanie „zawodu króla”. Z zaskoczeniem i przyjemnością obserwował kompetencję Jacoba w poszczególnych dziedzinach - oczywiście, na ile mógł zrozumieć język niemiecki, którym się posługiwano. Najważniejsze kwestie władca uprzejmie streszczał po angielsku, nachylając się ku bratu. Daniel czuł, że rośnie w nim serce i duma. Dramat ostatnich dni zaczął mu się nagle wydawać interesującą przygodą.. Stracił ojca, ale i zyskał ojca. Poznał piękną, pociągającą kobietę. Zyskał królewskiego brata. Szkoda,

że Elbia nie leży nad oceanem! Tak, tak, nie byłoby źle, gdyby leżała nad oceanem.

W miarę jak zbliżał się dzień balu, wyczuwalnie rosło w zamku podniecenie. Z kuchni dolatywały niezwykle zapachy. Elly dowiedziała się, że oprócz potraw egzotycznych, przygotowuje się także tradycyjne, w tym *elbisches Rahmgeschnetzeltes*, czyli pasczki cielęciny w gęstym winie i sosie grzybowym, *Germknodel*, czyli knedle na drożdżach z nadzieniem z powideł śliwkowych posypane makiem, oraz, na przykład, starodawną zupę ogonową, niegdyś pożywienie biedaków, dzisiaj zaś wyszukane danie dla smakoszy.

W ogromnej sali balowej, w bocznych kandelabrach, osadzono pęki grubych świec. Z lamusa zamkowego przyniesiono przechowywane tam pieczołowicie historyczne proporce von Austerandów. Ich ekspozycja miała być uzupełniona o współczesne flagi państwowe krajów posiadających swe przedstawicielstwa dyplomatyczne w Elbii. Pod ścianami porozmieszczano rzędami stoły. Jeden z nich, na osi paradnego wejścia, ustawiono na podium o trzech schodkach. Podium nakryto czerwonym dywanem.

Każdego wieczora Dan pukał do pokoju Elizabeth. Spędzali ze sobą noce, rozmawiając i kochając się. Rankami wyglądali na coraz bardziej wycieńczonych, ale i coraz szczęśliwszych.

W rozmowach nie poruszali tematu dalekiej przy-

szłości. Elly była prawie pewna, że Dan nie zmieni swego nastawienia „prorodzinnego”. Bardzo często wspominał o Kristinie i Crayu. Okazuje się, że obserwował bacznie te maluchy. Swoją drogą, Elly coraz chętniej rozważała możliwość adopcji. Ale czy adopcja zadowoli mężczyznę zdolnego mieć własne potomstwo? Rzecz wątpliwa. Bywało, że Elly popłakiwała cichutko w poduszkę, kiedy Dan już spał. Co będzie za kilka dni, gdy przygoda w Elbii dobiegnie końca? Oboje czeka zapewne smutne rozstanie. Miłosne dni i noce Elly zaprawione były domieszką goryczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nadszedł wieczór balu. Zamek tonął w światłach. W powietrzu mieszały się zapachy płonących świec, wywoskowanej podłogi, róż stojących w wazach oraz wielu potraw.

Elly i Dan dyskutowali pewne kwestie dotyczące savoir vivre'u.

- Powinieneś poprowadzić swoją matkę - twierdziła Elly. - Ja wejdę do sali balowej z ojcem.

- Zgadzam się. Rozmawiałem już nawet o tym z mamą... Ale wobec tego u ciebie rezerwuję sobie pierwszego walca!

- Oczywiście! Chyba że pojawi się Tom... — Elly przypomniała sobie swój żarcik sprzed kilku dni.

- Tom Cruise?

- No właśnie.

Dan zaśmiał się.

- W porządku... Zgodziłbym się i na tego drugiego Eastwooda. Choć, jak wiadomo, dwa grzyby w barszcz to za dużo.

Bezpośrednio przed balem Dan przeżył zaskoczenie. W smokingu pożyczonym od Jacoba zbliżał się

właśnie do pokoju Madge, gdy ujrzał wychodzące dwie postacie. Któż to uprowadza jego damę?

- Hola! - zawołał. - Kto mi porywa dziewczynę?
Frank Anderson obrócił się i pomachał ręką.

- Byłem pewien, że ma pan parę?

Margaret też mu pomachała.

- Pamiętam, Danny, żeśmy się umawiali, ale... Czy to nie jest bardziej naturalne, żeby młodzi poszli razem? - Spojrzała na Franka. - A my, starsi, ze sobą. Daniel udał rozczarowanie.

- Ładne rzeczy! Zmówiliście się za moimi plecami. Za naszymi plecami.

Frank wzruszył ramionami.

- Mam wrażenie, że Elly i pan dobrze do siebie pasujecie... - Posłał Danielowi wszystkowiedzące spojrzenie.

Dan postarał się właściwie zinterpretować to oświadczenie.

- Ja też myślę, że do siebie pasujemy. Przy tym zapewniam pana, że mam wobec Elly wyłącznie uczciwe zamiary. Bardzo ją podziwiam i szanuję.

- Nie wątpię, nie wątpię, mój chłopcze - zamruczał dobrodusznie Frank. - No, to idź już po nią. A my oboje zaczniemy sobie pomaleńku schodzić na dół.

Dan ruszył w stronę pokoju Elly. Co ja takiego powiedziałem? zastanowił się. Że mam wobec niej uczciwe zamiary? Zwolnił kroku. Czy uczciwe jest to, że namawiam ją do bycia ze mną bez planów na przy-

szłość? Wydaje się to podobne do chowania głowy w piasek. Posmutniał. Perspektywa balu i pomyślnego rozwiązania konfliktu z domem von Austerandów nagle przestała mu się wydawać radosna. Być może Elly miała rację, próbując zapobiec naszemu zbliżeniu. Człowiek nie jest istotą żyjącą w beczasie. Wszystkie nasze uczynki mają swoje następstwa. Nie jest dobrze, gdy próbujemy o tym zapomnieć.

Zatrzymał się pod drzwiami Elly, bojąc się zapukać. Ale przypomniał sobie, że oficerom piechoty morskiej nie wypada się bać.

- Wejść, tatusiu! - usłyszał.

- To nie tatuś. W każdym razie, jak dotąd! - Spróbował być wesoły, przekraczając próg. - A więc jednak to ja poprowadzę cię dzisiaj na bal. Starsi państwo, oboje, Frank i Madge, zmówili się za naszymi plecami... O! - przerwał, ponieważ dotarło do niego, że w pełnym świetle kandelabrow stoi przed nim piękna zjawa,

Przez chwilę nic nie mówił. Chłonał widok, zaś Elly napawała się jego podziwem. Połyskliwe fałdy bladzielonego jedwabiu skojarzyły się Danowi od razu z ukochanym morzem, z igraniem świateł na falach. Zaś ogniste włosy, upięte wysoko, wydawały się pochodnią, zdolną podpalić wszystkie męskie serca.

- Jesteś... zbyt piękna! - poskarżył się.

Elly wybuchnęła śmiechem.

- A jak ci się podobają te szmaragdy? - Pokazała

mu naszyjnik. - Wszystko to zawdzięczam Allison. To są prezenty od niej.

- Ja też mam na sobie prezent od Jacoba. - Dan skubnął połą smokingu.

- Niezły - pochwaliła Elly. - Która godzina? - Zerknęła na swój mały zegarek.

- Jacob zaprasza wszystkich do oficjalnej prezentacji punktualnie na ósmą - przypomniał sobie Dan. - *Ordnung muss sein* - zacytował niemiecką regułę.

- No, to mamy jeszcze tylko siedem minut! - Elly złapała swój biały, jedwabny szal, ostatni raz spojrzała w lustro i szybkim krokiem ruszyła do drzwi.

- Wolniej, wolniej - mitygował ją. - Na pewno nic się nie zacznie, póki my nie przyjdziemy. Ordnung nie Ordnung, a w końcu jest to bal na moją cześć.

- Na twoją, ale i twojej mamy, ty pyszałku! - Dała mu kuksańca w bok.

Kiedy znaleźli się na schodach, posłyszeli dźwięki orkiestry. Na dole, na końcu korytarza, jarzyły się liczne światła. Wkroczyli do sali jednym z bocznych wejść. Goście dopiero się gromadzili. Oboje przemierzili na ukos salę balową i stanęli u podium królewskiego. Von Austerandowie przybrani byli dzisiaj w ceremonialne szaty. Mieli też wydobyte specjalnie na tę okazję ze skarbcza regalia - jabłko, berło, korony, a na sobie płaszcze podbite gronostajowym futrem. Elly dygnęła, Dan się skłonił, chwila wydawała się poważna. Jacob puścił jednak oko do brata.

- No i jak ci się podoba ta maskarada?

Elly i Dan zajęli miejsca po prawej stronie pary królewskiej, na początku formującego się szpaleru powitalnego. Byli i weseli, i smutni, bo każde z nich co chwila popadało w przygnębienie, myśląc o zbliżającym się dniu wyjazdu. Zakończą tę przygodę razem czy osobno? Pewnie jednak osobno...

- A wiecie, że wyjaśniło się, kto spowodował przeciek do prasy o tym, że mam brata? - Jacob obrócił głowę ku Allison i obrzucił ją szczególnym spojrzeniem.

- A więc...?

- Uśmiejcie się - przyłączyła się Allison. - Chodzi o Craya. Wiemy o tym od Gretchen. Nasz synek lubi nieproszony odbierać telefony. Któregoś dnia centrala przez pomyłkę połączyła jakiegoś dziennikarza nie z naszym sekretariatem prasowym, a z pokojem bawialnym. Cray złapał słuchawkę i wypaplał wszystko, co wiedział, czego się nasłuchiwał od nas przy stole. Gretchen była wówczas przekonana, że Cray rozmawia z którymś z nas. Dopiero potem się połapała. A nam wyjawiała wszystko dopiero teraz. - Allison wzniosła oczy ku niebu i westchnęła.

- Miłe dziecko - odezwał się Dan. - Właściwie to chyba Cray zafundował nam ten dzisiejszy bal?

Wszyscy pokiwali głowami.

W tym samym momencie przy głównym wejściu do sali zakotłowało się. Roztrącając czcigodne oso-

bistości, wtargnęli reporterzy, ośmiu, a może dziesięciu. Uzbrojeni w kamery, magnetofony, mikrofony na wysięgnikach, aparaty fotograficzne, zbliżali się szybko do królewskiego podium. Jacob dał znak swej ochronie, aby nie interweniowała.

- *Nein!* - Podniósł rękę. - Przepuście ich.

Błysnęły flesze, zaczęły padać pytania, kierowane do króla i jego brata. Jacob poprosił gestem o ciszę i rzekł:

- Panie i panowie, wiem, że będzie was dzisiaj więcej, zatem zaczekajmy może na wszystkich. Za godzinę czy półtorej wydam oświadczenie, które, jak sądzę, w pełni zaspokoi waszą ciekawość. A jeśli nie, otwarty jestem na wszelkie kwestie... Na razie zaś zapraszam do stołów.

Przez następne kilkanaście minut odbywała się przed podium królewskim oficjalna prezentacja gości. Kłaniano się, dygano, wypowiedziano nazwiska i tytuły. Kiedy pałacowy majordomus głośno zaanonsował Marię Stanzę, dziennikarze rzucili się w jej stronę.

- Nasz plan działa - Jacob nachylił się ku bratu.
- Mają sławną aktorkę; może pofolgują tobie i mnie...
Ale Toma Cruise'a nie zaprosiłem - dodał.

Reporterzy krążyli od aktorów do znanych prezen-
terów, menedżerów, dyplomatów.

Zagrali walca i Dan od razu poprosił Elly do tańca.

- Tom Cruise nie przybył. Wiem o tym z pierwszej ręki. A więc chyba zatańczysz ze mną?

Zawierali. Przybywało par na parkiecie. Bardzo dzielnie radzili sobie Frank Anderson z matką Dana. Król i królowa trwali na razie nieporuszeni. Piastowali swe regalia, konwersowali z artystami, dyplomatami, przedstawicielami świata finansjery i przemysłu.

Było około dziesiątej, gdy muzyka ucichła. Przed królem zaczęto ustawiać mikrofony. Zabłyśły reflektory. Zaszumiwały kamery. Król, który tymczasem zdążył odesłać swe regalia do skarbcza, pozdrowił wszystkich gości po niemiecku, po francusku i po angielsku. Oznajmił, że z uwagi na obecność międzynarodowej prasy głównie po angielsku wygłosi zapowiedziane oświadczenie.

- Panie i panowie, postaram się mówić lapidarnie.
- Sięgnął po kartkę. - Ten tekst - wzniosł papier - dostępny jest też w naszym sekretariacie prasowym. Zawiera on krótką historię związku Karla von Austera, naszego ojca, z jego przedmałżeńskich czasów, z panią Margaret Eastwood. Związek ów okryty był tajemnicą, z woli obu stron, prawie do dziś. Moja matka, świętej pamięci Ilse von Austerand, nigdy się o nim nie dowiedziała.

Jacob rozejrzał się po sali. Potem obrócił głowę ku siedzącemu w pobliżu Danowi.

- Jestem bardzo dumny - powiedział - że mogę powitać w Ełbii mego przyrodniego brata, Daniela

Eastwooda, syna Margaret Eastwood. Stał się on już naszym przyjacielem, miłym gościem Crystal Palace. Oboje są naszymi miłymi gośćmi.

Zaszumiało wśród zgromadzonych. Liczne kamery wycelowane zostały w Dana i w Margaret Eastwood.

Jacob mówił dalej:

- Choć Daniel miałby prawo żądać tronu Elbii dla siebie jako pierworodny, wedle naszego prawa, dobrowolnie i szlachetnie zrezygnował z tego. W istocie zgłasza *desinteressement* względem kwestii sukcesji. Pragniemy wobec tego wynagrodzić jakoś przynajmniej jego matkę. Całe lata żyła zbyt skromnie jak na osobę kochaną niegdyś przez naszego ojca i dochowującą mu aż do dziś wierności. Takie są bowiem fakty... Wiele też kosztowało ją samodzielne wychowanie syna.

Elly spojrzała na Dana. Wydawał się skoncentrowany na słowach Jacoba i niekoniecznie z nich zadowolony.

- Co się dzieje? - szepnęła.

- Pozmieniał różne izeczy w tym, cośmy razem ustalili. Nie wiem, do czego zmierza.

Elly poczuła dreszczyk na plecach. Co się tu zapowiada? Kolejna próba sił między braćmi? Moment po temu wydawał się najmniej stosowny, na oczach tylu przedstawicieli prasy.

Król kontynuował:

- Daniel Eastwood jest człowiekiem honoru i wie-

lu talentów, wśród których nie najmniejszą rolę odgrywa talent do dzielenia się z ludźmi mniej obdarowanymi przez los. Pragnął opuścić Elbie bez jakiegokolwiek gratyfikacji, poza niewielkim wsparciem dla jednej ze swych akcji dobroczynnych. Ja jednak zdecydowałem, że to nie wystarczy.

Dan poruszył się gwałtownie; Elly była pewna, że zaraz coś powie. Jacob zauważył ten ruch i poprosił gestem o cierpliwość.

- Zdecydowaliśmy, że przeznaczymy równowartość trzech milionów dolarów na program Dzieci Miasta, adresowany do małych, ubogich mieszkańców Marylandu. W ten sposób stworzone zostaną podstawy kapitałowe, umożliwiające fundacji utrzymywanie się z dywidend, a zatem zupełną niezależność.

Elly spojrzała na Daniela. Był zaskoczony.

Publiczność zaczęła klaskać, lecz Jacob podniósł rękę, prosząc o dalszą uwagę.

- Mój brat mógł zostać królem, od czego wielkodusznie odstępuje. Jeśli nie będzie królem, niech zostanie przynajmniej księciem. Zatem proszę teraz Daniela Eastwooda, naszego brata, aby uczynił nam tę uprzejmość i zgodził się przyjąć godność księcia Królestwa Elbii.

Nowy aplauz wybuchł w całej sali. Pojawiły się tace z szampanem. Wznoszono toasty: „Niech żyje książę Daniel! Niech żyje król Jacob!” „Niech żyją obaj bra-

cia!". Ktoś próbował zaintonować hymn Elbii, a ktoś inny - hymn amerykański.

Nowo mianowany książę, poproszony do mikrofonu, stanął przy nim, obejmując ramieniem matkę. Dziękował w imieniu obojga za uprzejmość, za gościnę, za ten piękny bal i za hojne nadania. Spróbował też dobrodusznie ironizować na temat swego nagłego szlachectwa.

- Drogi bracie - spojrzął na króla - bez wątpienia jest ci wiadome, że prawo amerykańskie nie pozwala na import arystokratyzmu, podobnie jak choćby narkotyków... A więc na razie przechowasz mi chyba moje insygnia u siebie w skarbcu? Będę ich używał, ile razy odwiedzę Elbie... A mam nadzieję, że będę was tutaj odwiedzał wiele razy.

O głos poprosiła Allison. Zwróciła się do Daniela i jego matki.

- Drodzy moi, trzymamy was za słowo. Liczymy na częste odwiedziny w Elbii. Czujcie się tu jak u siebie w domu.

Dalszy ciąg balu był jedną wielką feerią radości, światła i muzyki. Dziennikarze zniknęli jeszcze przed północą. Choć rewelacje króla Jacoba okazały się wystarczająco medialne, konkurował z nimi wykryty na sali sensacyjny romans Marii Stanzy z jej szoferem, oraz podobne historyjki dotyczące innych zgromadzonych gwiazd, czempionów albo biznesmenów. Tak że

kwestia sukcesji po Karlu von Austerlandzie nie okazała się dzisiejszego wieczoru, z punktu widzenia środków masowego przekazu, najważniejsza.

Elly tańczyła z Danem, ze swym ojcem, także z Jacobem. Potem bawiła się z wieloma dżentelmenami, gwiazdoramii, dyplomatami i arystokratami.

Kiedy na pożegnanie zagrano walca „Nad pięknym, modrym Dunajem”, znalazła się na powrót w ramionach swojego księcia. Zmęczona, półsenna, wirowała w takt słodkiej melodii, pośród zwierciadeł tasujących światła, między barwnym tłumem, w świecie coraz bardziej odrealnionym.

- Powiedz, Dan... czy to wszystko się dzieje naprawdę? Czy my jesteśmy na balu u króla? Ty zostałeś nagle milionerem i księciem? A ja - uśmiechnęła się - równocześnie chcę ciebie w swoim życiu... i nie chcę?

Potrząsnął głową i nic nie odrzekł. Tańczyli aż do końca melodii, milcząc. Muzyka mówiła, śpiewała za nich. I toczyły się modre fale Dunaju, fale rzeczne i muzyczne, nie oceaniczne", jednak Dan był w swoim żywiole, czuł się głęboko poruszony. Elly zaś, w zielonobłękitnej połyskliwej sukni, zdawała się jedną z owych fal.

Rozstali się po drugiej nad ranem. Dan miał jeszcze coś do załatwienia z Jacobem. Elly wracała sama do pokoju, długim, pustym korytarzem.

I otóż to, myślała, spuszczać głowę. Oto koniec romansu, któremu przeznaczone było tak krótkie trwanie. Jutro wypadnie się pakować i żegnać. Trzeba wracać do prozy życia i do zwykłej pracy. Biuro Andersonów ma przecież mnóstwo zamówień! Ich wykonanie zostało tylko czasowo zawieszona, czeka do momentu zakończenia sprawy elbiańskiej.

- Elly!

Dogonił ją znajomy głos, odbijający się echem o ściany korytarza. Podskoczyło w niej serce, a oczy, nie wiedzieć czemu, napełniły się łzami. Przystanęła, nie oglądając się za siebie.

- Co się dzieje? - Dan doganiał ją długimi krokami. - Nie chcesz na mnie spojrzeć? Nie możesz na mnie patrzeć? A może bal ci się nie podobał?

- Podobał, podobał... Wszystko mi się podobało - odpowiedziała, nie podnosząc oczu.

- To skąd te łzy?

Westchnęła.

- Wciąż walczę ze sobą... - Podniosła głowę. - I z tobą. Byłoby dużo lepiej, gdybyśmy się oboje tak do siebie nie zbliżyli. Prawda? A teraz trudno się nam rozstać...

- A czy musimy się rozstawać? Elly... - W jego głosie dźwięczało wahanie, współczucie i jakby rodzaj prośby.

- Tak, musimy - odpowiedziała dzielnie. - Wiesz dobrze, że musimy.

- Wiem, ale się nie zgadzam! - Pokręcił głową. - Wydaje mi się, że jesteś dokładnie tą kobietą, której szukałem-w życiu.

- Dokładnie nią nie jestem - upierała się Elly. - Nie dam ci dzieci. Mam wadę serca i tak dalej...

- Na razie nie potrzebuję dzieci. Wystarczą mi te... z Baltimore.

- A co potem? Zgodziłbyś się, na przykład, na adopcję?

Dan milczał.

- Albo na... jakąś matkę zastępczą?

- O nie! - Szybko objął Elly.

- Sam widzisz. - Uwolniła się z jego objęć. Westchnęła i ruszyła przed siebie.

On patrzył za nią, niezdecydowany.

Otworzyła drzwi do swego pokoju. Nie oglądając się, weszła, dotarła do łóżka i rzuciła się na nie twarzą do poduszki. Bardzo jej się chciało spać, płakać, a może i nie istnieć.

Posłyszała, że Dan wchodzi i zamyka drzwi.

W chwilę potem ugięło się łóżko. Usiadł przy niej i głaskał ją po włosach.

- Elly, bądź ze mną - prosił. - Wiesz, że kiedy jesteśmy razem, nic ci nie grozi. Przy mnie jesteś bezpieczna. Ja cię nigdy nie skrzywdzę.

- Mój ojciec też nie chciał skrzywdzić mamy - mówiła cicho. - A jednak jej serce nie wytrzymało. Z jego powodu.

Przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie.

- A więc takie ma być nasze pożegnanie? - szepnął w końcu.

Wyciągnęła dłoń do tyłu, szukając jego ręki.

- A chciałbyś, żeby było inne? - Obróciła twarz.

- Wiem, wiem, że byś chciał. - Odwróciła się na wznak. Zajrzała mu w oczy i od razu zaczęła zsuwać ramiączka swej sukni.

Kochali się ten ostatni raz słodko i rozpaczliwie, zapamiętali i tak, żeby się dobrze zapamiętać... Spieszyli się do rozkoszy i nie spieszyli; czas płynął, noc gęstniała; prawie już oboje spali, prawie nie żyli, lecz wracali wciąż na ten świat, aby się spotkać w swoich ciałach.

Zegar na wieży zamkowej wybił godzinę czwartą. Dan spróbował się podnieść. Ruszył ku łazience. Przypomniał sobie, że chyba nie zdjął jeszcze prezerwatywy. Ujął ją teraz w dwa palce i nagle poczuł niepokój. Coś jest nie w porządku, pomyślał. Zamknął za sobą drzwi, zsunął gumkę i uniósł ją ku światłu. No tak, ujrzał małe pęknięcie. Krew uderzyła mu do głowy. Przysiadł na brzegu wanny. Co robić?! Trzeba będzie powiedzieć Elly. Wstał, lecz zaraz znowu usiadł. Przecież nie może jej zafundować takiego zakończenia bał! I całego romansu... Elly wpadnie w panikę. W rozpacz! W złość! Znienawidzi go, to pewne.

Cisnął prezerwatywę do pojemnika na odpadki.

Miał pustkę w głowie. Potem przypomniała mu się piosenka Beatlesów „Let it be”. „Niech tak będzie”... Rzeczywiście, wzruszył ramionami, niech tak będzie... Może tego właśnie chce od nas los? Niech będzie, co ma być.

I postanowił na razie nic nie mówić Elizabeth.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Elly obudziła się z głową na jego piersi. Przespali resztę nocy, przytuleni. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że słońce dawno wstało. Przypomniała sobie ostatnie pieszczoty i poczuła, że ma łzy pod powiekami. Westchnęła. Delikatnie ucałowała ramię Dana. Potem wyslizgnęła się spod kołdry.

W łazience zaczęła od zmywania wczorajszego makijażu i nie trafiła zużytym wacikiem do kosza. Schyliła się i przypadkowo omiotła wzrokiem zawartość pojemnika. Coś ją zastanowiło. Przyjrzała się baczniej. No tak, prezerwatywa. Ale nie wygląda na zwykłą prezerwatywę. Normalne są otwarte tylko z jednej strony, a ta była otwarta z obu. Sięgnęła po grzebień na długiej ręczce i trzymając za zęby, wyjęła z kosza dziwny szczątek. Zbadała go dokładnie. Nie ma wątpliwości... Katastrofa! Guma jest rozerwana.

Obleciał ją strach.

W chwilę potem zaśmiała się. Nie, nie, to musi być tylko jakiś żarcik Dana... A jeśli nie?

Poczuła, że jest jej mdło. Mdło i słabo. Wrzuciła

z powrotem kondom do pojemnika i osunęła się na podłogę. Oddychała ciężko.

Obróciła się i oparła o obudowę wanny. Zaraz, zaraz, powiedziała sobie, pomyślmy logicznie. Byli senni i trochę pijani, kochali się bardzo długo... Lateks oczywiście mógł nie wytrzymać. Ale dlaczego, kiedy Dan już zauważył, co się stało, nic nie powiedział? Śpi sobie teraz tak spokojnie.

Przemknęła jej przez głowę myśl, że on mógł to wszystko zrobić... specjalnie. Aby musiała z nim zostać. On nie wierzy przecież w te wszystkie kardiologiczne przeszkody na drodze do macierzyństwa. Przy dzisiejszym stanie medycyny... - mówi.

Poderwała się i ruszyła do drzwi.

Nie, niemożliwe! Zatrzymała się z ręką na klamce. Gdzież dowody, skarciła samą siebie. Jak mogę go tak oskarżać?

Wróciła do lustra i zajrzała sobie w oczy. Od razu zaczęły jej po policzkach płynąć łzy. Ale dlaczego Dan nic nie powiedział? Czy to nie jest dowód? No i ten fatalny *corpus delicti* w koszu na śmieci... Oczywiście myślał, że ja tego nie znajdę!

Poczuła się upewniona co do winy Dana. Łzy płynęły dalej, ale teraz były to już łzy prawdziwej złości.

- Do diabła! - zaklęła głośno. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Myślą tylko o własnej przyjemności. Traktują kobietę jak rzecz, przywłaszczają nas sobie, wykorzystują.

Z rozmachem wkroczyła do pokoju. Trzasnęły za nią drzwi. Dan poderwał głowę z poduszki.

- Co się dzieje?! - zawołał.

- To ja się ciebie pytam, co się dzieje! - Stanęła nad nim.

W sekundę pojął, że ona już wie o prezerwatywie. Czuł, że ma pustkę w głowie. Zaczął się uśmiechać jak chłopczyk przyłapany na drobnym hultajstwie.

- Przepraszam cię, Elly... - zaczął.

- Przepraszasz?! - Tupnęła nogą. - Zaufałam ci, a ty...! - Opadła na krzesło obok łóżka i głośno zawodziła.

Poderwał się. Okrył jej nagie ramiona szlafrokiem.

- Zdarzyło się... Taką marnotę produkują teraz w Europie... Powinienem był ci powiedzieć, gdy się tylko zorientowałem... - zawiesił głos. - No tak, głupio zrobiłem.

Elly dalej łkała. Staął przy niej bezradnie.

- Chciałem ci oszczędzić właśnie tych łez. I złości na mnie, czy na los. Bo może... - zamilkł na chwilę i przysiadł na krawędzi łóżka - może nic się nie wydarzyć. Wcale nie musisz zająć w ciąży.

- Czy wiesz, jak ja się teraz strasznie boję? - odezwała się głucho.

Ukląkł przed nią. Całował jej ręce i kolana.

- Elly... Może naprawdę nic złego się nie stanie. Który to dzień cyklu?

Podniosła zapłakane oczy.

- Który?... Zaraz,, zaraz - chlipnęła. - Chyba przedostatni... Tak, przedostatni! - Jej głos poweselał.

- No widzisz! - ucieszył się razem z nią. - A więc mało prawdopodobne, żebyśmy mieli dzidziusia.

- Mimo wszystko zachowałeś się nieodpowiedzialnie.

- Nie chciałem ci psuć pięknego końca balu.

- Balu! - prychnęła. - Ty o balu, a tu idzie o życie.

- Eee... - uśmiechnął się Dan. - Ta twoja wada serca nie jest chyba poważna. Pomyśl, pięć godzin tańczyłaś dzisiaj, i co? Nie wyglądało na to, żebyś miała załabnąć.

- Co ty tam wiesz... - Wstała z krzesła i zaczęła się ubierać. - I tak to wyglądają te twoje gwarancje bezpieczeństwa - dogadywała. - „Ze mną jesteś bezpieczna”, „nigdy cię nie skrzywdzę”...

- Elly, przepraszam... - Sięgnął po spodnie. - Ale, między Bogiem a prawdą, na nic na tym świecie nie ma chyba stuprocentowej gwarancji.

Wzruszyła ramionami.

- Może i nie ma... Poza tym jednym, że wszyscy kiedyś pomrzemy.

- Elly... - Objął ją. - Nie bądź taka smutna. Ja tam lubię wierzyć w szczęśliwe zakończenie... Jestem też prawie pewien, że nasze drogi jeszcze się przetną.
- Pocałował ją w czoło.

Oboje kończyli się ubierać.

- Kiedy opuszczasz Elbie? - zapytał, wkładając buty.

- Jak najszybciej - westchnęła. - Firma Andersonów ma wiele zleceń. Czeka mnie w Stanach ciężka praca.

- Pamiętaj, że chciałbym się tutaj z tobą pożegnać. Zawiadom mnie o dniu odjazdu.

Nie odpowiedziała.

A kiedy w dwa dni potem rzeczywiście nadeszła pora wyjazdu, uznała, że nie będzie żadnych pożegnań. Po co rozdzierać serce, po co płakać, a może i coś tam nawzajem sobie wypominać. Po południu sama odleciała helikopterem, bo ojciec na razie został. Patrzyła na zachodzące słońce i to był koniec wielkiej elbiańskiej przygody. Królewska bajka o miłości gasła oto dla Elly razem z tym słońcem. Koniec. Koniec...

Odczekała tydzień, a ponieważ miesiączka się opóźniała, postanowiła zrobić próbę ciążową. Teoretycznie Dan miał rację. Zapłodnienie tuż przed miesiączką jest mało prawdopodobne, ale daleka podróż, wielodniowe napięcie mogły wszystko zmienić.

Trochę drżały jej ręce, gdy rozpakowywała test. Pierwsza próbka wpadła jej do muszli i zmarnowała się. Druga też jej wypadła z rąk: bo test był od razu pozytywny. Usiadła zrozpaczona, zaskoczona, zrezygnowana. .. Ścisnęła ją w żołądku, zaczęła się pocić. Co

robić? Postanowiła ponowić próbę. Niestety. I ta była pozytywna.

A więc to katastrofa!

Swoją drogą, sama niemało zawiniła. Nie ma piętnastu lat, wie coś niecoś o skutecznej antykoncepcji. Gdyby naprawdę nie chciała mieć dzieci, poddałaby się, na przykład, sterylizacji. Sporo kobiet w Ameryce tak robi. Widocznie nie byłam do końca przekonana, że nie chcę być matką, pomyślała. Człowiek sam siebie nie zna.

Potem, popłakując, rozpamiętywała po raz nie wiadomo który szczegóły dramatu z dzieciństwa. Mama, ojciec, przerażenie, pogotowie... I nagle doszła do logicznego wniosku, że nie byłoby jej samej na świecie, gdyby Patricia Anderson nie zaryzykowała kiedyś swego zdrowia, więcej, życia...

A przecież przyjemnie jest być na świecie, uśmiechnęła się Elly. Raczej tak, niż nie... Kto wie, może i dziecku Daniela należy się taka przyjemność? Może powinnam zaryzykować?

Uśmiechała się przez łzy i sama się sobie dziwiła.

- Człowiek nie zna siebie - powiedziała na głos.
- Nie zna... - Pokręciła głową. I poczuła się pocieszona.

Dan wrócił do Ocean City, ale nie mógł się tam odnaleźć. Zdawało mu się, że w jego świecie wszystko stanęło na głowie.

Kiedy był w Elbii, tęsknił za Haven, za morzem, za rozległą przestrzenią, swobodą, ruchem. Teraz miał już swój ocean i swobodę, lecz był samotny. Wciąż myślał o Elly. Szukał jej koło siebie, pragnął jej pieśzcot, zdawało mu się, że słyszy jej głos, że dotyka jej ręki, że rozmawiają ze sobą.

Z początku rzucił się w wir pracy, skontaktował się z bankiem, dopilnował transferu pieniędzy Jacoba dla programu Dzieci Miasta. Wprowadził Kevina w całość przedsięwzięcia i na jego barki złożył główny ciężar administrowania majątkiem fundacji.

Kiedy już tego dokonał, poczuł, że ogarnia go apatia. Coraz częściej przesiadywał w swym bungalowu przy kominku i rozpamiętywał. Myślał o Elizabeth; tylko o niej. Nie, nie tylko: także o szczęśliwej rodzinie swego brata. Mniejsza o królewski splendor; zazdrościł Jacobowi miłości Allison! Też chciałby być tak kochany... A czy nie rozkoszna jest Kristina i maty Cray?

Zostałem stryjem, dość niespodziewanie. Wziąłby teraz chętnie któregoś szkraba na barana i poszedł z nim na spacer brzegiem morza.

Mniej więcej po dziesięciu dniach postanowił zaryzykować i zadzwonić do Elly. Znalazł wizytówkę jej biura. Wystukał numer, ale odpowiedziała mu tylko automatyczna sekretarka.

- Witamy w Biurze Genealogicznym Andersona. Chwilowo nie ma nas na miejscu, ale prosimy o po-

zostawienie wiadomości. - Dan nagrał się i czekał na odzew. Po południu jeszcze raz zadzwonił. I znów usłyszał tylko automat.

Ponawiał próby przez następne trzy dni, coraz bardziej zdesperowany. Przez ten czas coś w nim dojrzało. Wreszcie uświadomił sobie, że kocha Elizabeth i pragnie się z nią ożenić, bez względu na to, czy urodzi mu dzieci, czy też nie.

Elly jest najważniejsza. Jest najważniejsza na świecie.

Wtedy znów podniósł słuchawkę i wybrał numer, ale już nie amerykański, lecz europejski. Zadzwonił do von Austerandów. Centrala połączyła go niezwłocznie i po tamtej stronie odezwał się Jacob.

- Witaj, Dan. Miło, że o nas pamiętasz... No, a jak tam twoja fundacja?

- Sprawy idą dobrym torem, dziękuję. - Daniel przedstawił bratu aktualny obraz finansowy przedsięwzięcia, pozdrowił Allison i dzieci, a w końcu zapytał: - Nie siedzi tam u was jeszcze Frank Anderson? Tu w Stanach jego numer nie odpowiada.

- Owszem, jest - potwierdził Jacob. - Mogę mu przekazać, że go szukasz. Oddzwoni.

- To dobrze - ucieszył się Dan. - Mam do niego ważny interes.

- Chciałbyś pogłębić studia nad swą genealogią? Daniel westchnął.

- Nie żartuj. Postanowiłem poprosić Franka o rękę Elly. Szkoda, że nie zrobiłem tego od razu w Elbie.

Król pomlcział chwilę.

- A więc te sensacje o was, obiegające świat, nie były tak całkiem bez podstaw? Macie się ku sobie?

- Przecież dobrze o tym wiesz.

- No wiem, wiem. Wszyscy tu wiemy. I życzymy wam szczęścia. A gdybym mógł się na coś przydać... telefonujcie w każdej chwili.

Minęły trzy kwadranse i Frank rzeczywiście odzwonił. Z jego nieco oficjalnego tonu Dan wywnioskował, że król uprzedził go, o czym będzie rozmowa.

- Bardzo mi miło, jestem nawet zaszczycony - kaszlał po swojemu w słuchawkę Frank. - Ale nie wiem, co na to wszystko Elly. Bo coś tam się popsło między wami, prawda?

- Nic się nie popsło, panie Anderson - zapewnił szybko Dan. - Elly nie chce mieć dzieci. Ale jeśli ona nie chce, to i ja z nich zrezygnuję. Przemyślałem to. Kocham pańską córkę.

Stary Anderson odchrząknął.

- Słyszał pan zapewne o naszej tragedii rodzinnej? Straciłem przed laty żonę... Na pewno pan o tym wie.

- Wiem. Ze szczegółami. I bardzo współczuję, nawet dzisiaj.

- Nie chciałbym stracić także córki... Ona odziedziczyła wadę serca po Patricii. Nie powinna rodzić.

- Panie Anderson, pragnę tego samego, co i pan: dobra Elly. Chcę poślubić Elizabeth na takich warun-

kach, które oboje uznacie za rozsądne. A ja się dostosuję.

Po tamtej stronie przez chwilę trwała cisza.

- No tak... Ale czy pan wytrwa bez pełnej rodziny? Wiem od pańskiej matki sporo o tej szkółce pływackiej, którą teraz Jacob dofinansował. Pan ma zdecydowanie temperament tatusia. - Tu Frank zachichotał.

- Panie Anderson... - Daniel przełożył słuchawkę z ręki do ręki. - Jestem człowiekiem honoru i dotrzymuję umów. I bardzo kocham Elly. Naprawdę. Proszę... - Znów przełożył słuchawkę. - Proszę, niech pan przekona Elizabeth, żeby mnie wysłuchała. Przy najmniej przez telefon... Nie mogę się do niej przebić przez tę automatyczną sekretarkę... Właściwie chciałbym pojechać do Connecticut i wyjaśnić jej wszystko osobiście.

- Pojechać, pojechać... - zastanawiał się na głos Anderson. - No dobrze - przyrzekł. - Mozę jakoś namówię Elly, żeby przed panem nie uciekała. Zobaczmy, co da się zrobić.

Elly wędrowała z kąta w kąt, zła na ojca. Dziś przyjechał z Europy, ale zamiast przyjechać do biura, gdzie czeka tyle spraw, wybrał się na zwiedzanie miasta, tak jest, z matką Daniela, która powitała go na lotnisku. Margaret wspomniała krótko, że i sam Daniel przyleci chyba z Baltimore, zaś ojciec poradził córce, aby nie zamykała drzwi „przed tym dobrym chłopcem”.

- „Dobry chłopiec”, dobre sobie - mruzczała, przystając w oknie i popatrując na zimowe drzewa. I dobry, i niedobry...

Zeszła na chwilę na dół do biura, porozglądała się i wróciła do sypialni. Stała przed lustrem; podciągnęła sweter i odsłoniła brzuch. I jakie ono może być, tam, w środku? Podniosła głowę i popatrzyła sobie w oczy. Zechcę je urodzić? Odważę się? Opuściła sweter i znów podeszła do okna. Ale czy odważyłabym się nie urodzić? Pokręciła głową i westchnęła.

Dlaczego życie musi być takie trudne.

Usiadła w fotelu i zaczęła przerzucać numer „New York Timesa”. O dziwo, na dalekich stronach wciąż jeszcze pisano o wydarzeniach w królestwie Elbii, choć teraz już w tonie raczej rzeczowej informacji niż sensacji.

W tym momencie usłyszała chrzęst opon na żwirowym podjeździe. Podbiegła do okna. Ujrzała samochód z napisami lotniskowej wypożyczalni aut. Za przednią szybą zamajaczyła jej twarz Dana.

Elly szybko się cofnęła. Czuła w głowie i sercu zamęt. To wspaniale, że on przyjechał! Ale lepiej, żeby nie przyjeżdżał. Jeszcze lepiej, żeby zrobił naraz i jedno, i drugie. Szkoda, że coś takiego nie jest możliwe.

Silnik samochodu ucichł i zaraz rozległ się gong, u drzwi. Elly ruszyła na dół po schodach. Stała na środku biura i nie mogła się zdobyć na wpuszczenie gościa.

- Wiem, że tam jesteś! - zawołał Dan. - Po co się ukrywasz.

Nie poruszyła się. Wstrzymywała oddech.

Gong znowu zabrzmiał.

- Elly, rozmawiałem z twoim ojcem, dzwoniłem teraz na komórkę. Wiem, że jesteś w domu.

Czuła śmieszność dalszego oporu. Ostatecznie Dan nie jest wilkiem z bajki, a ona nie jest małą kózką do schrupania.

Ruszyła do przedsionka i otworzyła drzwi.

- Witaj - uśmiechnęła się niepewnie.

Złapał ją w objęcia i mocno do siebie przytulił.

- Elly, kocham cię - powiedział. - Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Tylko ty się liczysz. Nie mogę bez ciebie żyć. Wszystko inne jest bez znaczenia.

Nie ruszała się. Wchłaniała jego zapach. Potem uniosła głowę.

- Chcesz powiedzieć, że porzuciłeś wszelkie marzenia o rodzinie?

- Wystarczy mi rodzina dwuosobowa. Tylko ty i ja - pocałował ją w usta. - Nic więcej nie muszę mieć do szczęścia, zrozumiałem to. I kocham cię - powtórzył. - Myślę, że i ty mnie trochę lubisz? - Znów ją pocałował.

Był zaborczy i niepewny, smutny i wesoły. Nadrabiał miną. Elly czuła, że uwielbia go z wszystkich tych powodów i jeszcze paru, innych. Na przykład, jako...

Ale on tego jeszcze nie wie. Trzeba mu to w końcu powiedzieć.

- Słuchaj, Dan - zaczęła. - Nie mogę... Nie wyjdę za ciebie, dopóki...

- Dopóki co?

Póki nie zdecyduję się ostatecznie na coś w związku z naszym dzieckiem. To miała na myśli. Jednak odrzekła:

- Dopóki mnie porządnie nie poprosisz o rękę.

- Co? - Popatrzył na nią zbity z tropu.

- Bo tak krążysz i krążysz... ale wyraźnie nie powiedziałaś, że chodzi ci o...

Chwycił ją w pół, obrócił dookoła siebie, a potem padł przed nią na kolana.

- Mam zaszczyt... Nie, poczekaj! - Sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął małe pudełeczko i znów zaczął: - Elly, bądź moją żoną, proszę cię... - Podał jej pierścionek z brylancikiem.

- Widzę, że się przygotowałaś.

- Kocham cię za to, że ty to ty, że jesteś piękna, inteligentna, odważna... I kocham cię również wtedy, kiedy się boisz. Chcę być z tobą na zawsze. Wyjdiesz za mnie? Nie musimy mieć dzieci.

Wyciągnęła rękę.

- Wstań. Oświadczyły przyjęte. - Pocałowała go. - Ale co do dzieci... - mruknęła i ułożyła drugą rękę na brzuchu - plany się nieco zmieniły.

Dan przerwał otrząpywanie spodni i wpatrzył się w tę drugą rękę.

- Nie chcesz powiedzieć, że...
- Właśnie, że chcę. I bardzo też chcę naszego małżeństwa. Człowiek się zmienia...

Kręcił głową zdumiony.

- No dobrze, Elly, ale wobec tego dlaczego nie odbierałaś moich telefonów?

- Człowiek siebie nie zna... - Uśmiechnęła się. - Prawdopodobnie potrzebowałam trochę czasu.

- No a co z tym strachem o serce? O życie? - pytał Dan. - Nie boisz się już?

- Postanowiłam, uwierzyć we współczesną medycynę. Wedle twoich rad.

Daniel schylił się i pocałował ją w brzuch.

- Powiedz - wyprostował się - czy zadzwoniłabyś do mnie, gdybym teraz nie przyjechał?

- Nie wiem. Raczej tak. Ale wolę, że stało się tak, jak się stało. Wszystko wydaje się o wiele piękniejsze, kiedy mówisz, że chcesz mnie dla mnie samej. A nie tylko dla tej wymarzonej rodziny, którą i tak będziesz miał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ślub Daniela i Elizabeth odbył się na wiosnę, zanim jeszcze Elly zdążyła się porządnie zaokrąglić. Wesele urządzono - gdzieżby indziej - w Elbii. Na życzenie Allison i Jacoba.

Stary pan Anderson pogodził się jakoś z ciążą córki. Margaret Eastwood promieniała: będzie miała wnuka! Badanie USG już teraz wykazało, że urodzi się chłopczyk. Elly z teściową zajęły się z wyprzedzeniem gromadzeniem niezbędnej wyprawki, naturalnie w kolorze niebieskim.

Młoda para, zaraz po powrocie do Ocean City, włączyła się w program Dzieci Miasta, obsługiwany dotąd głównie przez Kevina. Przy tym Elly nie porzuciła współpracy z biurem genealogicznym ojca. Dzięki e-mailom oraz Internetowi mogła mieć stały kontakt z Connecticut.

W miarę upływu czasu rósł jednak niepokój Elly. Czy rozwiązanie przebiegnie pomyślnie? Znaleźli, co prawda, znakomitego położnika, kobietę, specjalistkę w dziedzinie trudnych porodów, która zapewniała, że

wszystko będzie dobrze. Przewidywane było cesarskie cięcie.

Pewnego dnia, na trzy tygodnie przed wyznaczoną datą, Elly obudziła się z arytmią serca. Kłuło ją wyraźnie pod łopatką; miała też opuchnięte ręce. Spojrzała na swą obrączkę: na pewno nie udałoby jej się dzisiaj zdjąć.

- Dan... coś jest nie tak.

On od razu się podniósł, przytomny, gotów telefonować po lekarza.

- Poczekaj - powstrzymała go. - Czujesz? - Położyła rękę męża na swym brzuchu.

- Kopie! Dzielny chłopak - Dan rozjaśnił się i puścił oko do Elly. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Doktor Sheltón powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

- Au! -jęknęła. - Daniel! - W jej oczach był strach. I zdziwienie. - Czy to się już zaczyna?

- Niemożliwe. - Pospieszenie wciągał spodnie. - Prawie miesiąc przed terminem?

- A jednak... - Starła się wytrzymać ból. - Au! - Chwyciła się znów za brzuch, podciągając nogi. Drugą ręką masowała serce. - Boli! - poskarżyła się.

On już dzwonił po pomoc.

Elly spróbowała wstać z łóżka i ogarnąć się trochę. Ujrzała w lustrze toaletki swoją twarz; nie, nie swoją; twarz matki sprzed lat. Zroszoną potem, bladą. Ogarnął ją straszny żal... Zaczęło jej szumieć w uszach i po-

czuła nowe skurcze, w dole brzucha oraz w klatce piersiowej. Zrobiło jej się niedobrze. Poczwała się słabo. Usiadła. Potem osunęła się na bok.

- Ambulans wysłany - głos rejestratorki pogotowia brzmiał spokojnie, rzeczowo. - Proszę się nie rozłączać i informować nas o stanie chorej.

- Jest nieprzytomna! - wołał Dan. - Ile mam czekać?

- Proszę sprawdzić oddech chorej.

Pochylił się nad Elly, nadstawiając ucha.

- Ledwie wyczuwalny - mówił do słuchawki. - No i ta arytmia... A dziecko już w drodze! - desperował. - Co robić?!

- Proszę spokojnie poczekać na ambulans.

Poderwał się i wyjrzał za okno. Był cichy, letni poranek. Pusto. Ani śladu karetki. Może mieli kraksę? Albo złapali gumę? Z Ocean City do Haven jest raptem tylko pięć minut drogi.

- Zawiadomcie szpital! - krzyknął. - Niech się przygotowują. Powiedzcie, że zaraz tam będziemy.

Po tych słowach cisnął słuchawkę. Chwycił nieprzytomną Elly na rękę.

- Kochana - szepnął - tym razem to się tak nie skończy. Zobacysz. Przynękam.

Elly wydawało się, że jest jednocześnie w trzech ciałach, w jej własnym, w Daniela i w osobnym życiu

ich wspólnego dziecka. A może nawet stanowi częśćkę wszystkiego, co istnieje? Nadal czuła ucisk w brzuchu i w sercu, lecz nie tak mocny. Świat pomagał jej znosić zbyt wielki ból, strach i żal.

Chwilami przestawała w ogóle być sobą. Widziała siebie jakby z góry i nie była tym zdziwiona. Kiedyś czytała przecież, iż stany takie przydarzają się ludziom na granicy śmierci i życia.

Oczy miała zamknięte, lecz dziwnie otwarty umysł i wiedziała rzeczy dotąd przed nią zakryte. Odczuwała na przykład zwielokrotniony lęk synka... Jakby przed dwiema śmierciami. Bo przecież i zwykłe narodziny są rodzajem śmierci, przejściem z jednego świata do innego.

Daniel pędził, trąbił, wymuszając pierwszeństwo, ledwie zważając na światła. Cały czas głośno mówił do Elly, ułożonej na tylnym siedzeniu: „Wiem, że mnie nie zostawisz, trzymaj się, kochana, jeszcze pół minuty, to już zaraz, wszystko będzie dobrze, wiesz, że bez ciebie nie mógłbym żyć”. I mówił do niej również wtedy, gdy na podjeździe szpitala sanitariusze umieścili ją na wózku i szybko ruszyli ku windzie.

Zamilkł, gdy na jego drodze stanęła masywna siostra dyżurna.

- Dalej nie można! Na oddział intensywnej terapii nie wpuszczamy. Niech pan będzie rozsądny.

Dan próbował odsunąć pielęgniarkę. Ona jednak była naprawdę masywna

- W ten sposób nie pomoże pan ani żonie, ani lekarzom.

Dał za wygraną.

Tymczasem wózek dotoczył się pod porodówkę. Zrobiono Elly zastrzyk i to ją ocuciło. Zarazem rzucił się na nią cały ból. Przemagając cierpienie, wyszeptwała:

- Cokolwiek ma się stać, ratujcie moje dziecko. Ono jest najważniejsze. - Próbowała pochwycić dłoń lekarza. - Czy pan mnie słyszy? Dziecko... - I uśmiechnęła się zbielełymi wargami. Nie czuła strachu.

Dan chodził tam i z powrotem wielkimi krokami. Przystawał i wpatrywał się w złowrogie drzwi, oddzielające go od Elly. Siadał na plastikowym krzesełku, wstawał i znów wędrował.

- Niech się pan uspokoi, tatuśku - kpiła zeń dobrodusznie siostra dyżurna. - Za kilka minut będzie po wszystkim... Pan zrobił, co należało: przywiózł pan żonę na czas.

Dan modlił się w myślach do wszystkich znanych mu bogów. Nigdy dotąd nie przypuszczał, że można tak kochać drugiego człowieka. Czuł zbierające się pod powiekami łzy. Może pierwsze od czasów dzieciństwa.

Dokoła było cicho, świetliście. Wiedziała o tym, nie otwierając oczu. Jej serce biło równo; ciało zdawało się lekkie jak powietrze dookoła. Żadnego bólu...

- Elly? - usłyszała znajomy głos. Dan był przy niej.

Uśmiechnęła się, wciąż nie otwierając oczu.

- Czy widziałeś już swojego syna? - zapytała.

Przypadł do niej. Całował jej ręce, policzki, czoło.

- Elly, Elly - powtarzał. - Kocham cię. Jakaś ty dzielna... I jaka śliczna.

Pomału podniosła powieki. Zalany słońcem szpitalny pokój miał ściany pomalowane na kremowo. I cały tonął w kwiatkach.

- Von Austerandowie przysłali kosz białych róż - powiedział Dan. - Zobacz. - Odpiął kartę opatrzoną emblematami Królestwa Elbii.

Elly odczytywała powoli treść karty.

„...I pamiętajcie, żeby nas odwiedzać jak najczęściej. Bądź zdrowa, Elly. Opiekuj się Nią dobrze, Dan! Oboje kochamy Wasze Dzieciątko. Allison i Jacob". Jacy oni mili! - Elly była rozczulona.

Frank Anderson, wraz z matką Dana, przysłali pąsowe orchidee.

Były też liczne bukiety z najbardziej egzotycznych stron świata, nawet z Tasmanii. Ponieważ, jak się okazało, prasa dalej śledziła losy tajemniczego księcia i jego ukochanej, a prasa sensacyjna dociera wszędzie. Mieszkańcy antypodów na bieżąco poinformowani byli już nawet o wydarzeniach w Ocean City i w szpitalu.

- Nie do wiary - kręciła głową Elly. - Nie do wiary. Paparazzi cały czas nas podglądają, a my...

- A my o tym nic nie wiemy. Ale rezultatem tego bywają i kwiaty - uśmiechnął się Dan - takie jak te.

- Wskazał ręką bukiety.

I zaraz znów pochylił się nad żoną, całując ją delikatnie w usta.

- Lekarze twierdzą, że niedługo będę cię mógł zabrać do domu.

- Naprawdę? - ucieszyła się.

- Przełożona pielęgniarek powiedziała, że Eastwood junior wyrwa się po prostu z łóżeczka. I dokąd to, jak myślisz?

Zaśmiała się i poszukała ręki Dana.

- Udał nam się chłopiec.

- Jest duży i naprawdę bardzo energiczny. Nic dziwnego, że tyle miałas z nim kłopotu. - Przez rozjaśnioną twarz Daniela przemknął cień. - Elly, poprzestaniemy chyba na tym dziecku, prawda? Nie zniósłbym myśli, że mogłabyś być znowu tak strasznie zagrożona. Mówiłem, że wystarczy mi rodzina dwuosobowa. Na pewno zaś wystarczy trzysobowa.

Uścisnęła jego dłoń.

- Wiem, kochany, wiem. Ale lekarz postawił diagnozę, z której wynika, że to, co się stało wczoraj, nie ma związku z moim sercem.

- Jak to? - Dan wyprostował się. - Nic nie rozumiem. Wobec tego co się właściwie wydarzyło?

- Urodziłam nieco wcześniej i z objawami zespołu lękowego, który sprowadza skutki podobne do ataku

serca. Tyle lat bałam się ciąży, że w końcu uwierzyłam w nieuniknioną katastrofę. A tymczasem moja wada serca, jak mówią - i jak ty sam mówiłeś! - jest niewielka. Również i opuchnięcie zostało wywołane psychicznie, a nie czynnościowo.

- Niebrywał! - Dan kręcił głową. - Nie do wiary... A ja się wczoraj tak bałam.

Uniosła się nieco, objęła go za szyję i pocałowała w policzek.

- Lekarz zapewnia, że przy następnej ciąży nic z tych rzeczy już się nie powtórzy. Urodzę normalnie... Zresztą i teraz urodziłam normalnie, bez cesarskiego cięcia. Wystarczył zastrzyk uspokajający. I właściwa diagnoza lekarza.

- No wiesz!... - Dan przeżywał nowe zaskoczenie.
- Ale na wypadek, gdybyśmy się kiedyś mieli rzeczywiście znów... rozmnażać, zawiozę cię do szpitala z półrocznym wyprzedzeniem. Dobrze?

Śmiali się oboje.

- Nie, nie. Nie pozwolę ci się rozpieszczać - przekomarzała się Elly. - Jestem silną, odważną, zdrową i niezależną kobietą. - Po tych słowach uniosła ramiona i napięła bicepsy.

- Brawo, bardzo dobrze - dobiegł ich głos od progu. - Powinna się pani czuć silna i odważna, bo zaraz dopadnie panią pewien mały tygrys. Jest bardzo głodny.

Spojrzeli na wierzgającego malucha w błękitnych

śpioszkach; w tej chwili zaczął się właśnie głośno domagać śniadania.

Dan pomógł Elly unieść się na poduszkach. Rozpięła górę koszuli i wyjęła pełną pierś. Pielęgniarka wyszła, a Daniel zamruczał:

- Szkoda, że to nie dla mnie... - Popieścił miękkie policzki dziecka.

- Wszystko dla ciebie - szepnęła, unosząc oczy. - Nawet i to. Dan junior na pewno by się zgodził.

Pocałował ją w czoło.

- No to zaraz się zgłoszę! Ale w drugiej kolejności.

Siedział przy nich i przeżywał swoje szczęście. Dobre duchy wysłuchały go wczoraj. Oto miał żonę, miał zdrowe dziecko; życie było przed nimi... Chciałby Elly ofiarować, cały świat! Świata może nie miał, ale posiadał przecież swoje Haven. I miał też dla nich całą swoją miłość.

Nachylił się, pocałował Elly w usta, a ona oddała pocałunek ze słodyczą, która obiecywała, że niebawem znów się spotkają, aby dzielić namiętność, odkrytą wspólnie aż po drugiej stronie kuli ziemskiej, w bajecznym kraju zwanym Elbią.